

## ROZDZIAŁ DRUGI

### MOJE SERCE ZALEWA RZEKA ŁEZ

#### Między lękiem a natchnieniem

W miarę jak stawałem się starszy i bardziej dojrzały, zaczęło mnie dręczyć pytanie: „Kim będę, kiedy dorosnę?” Bardzo podobało mi się obserwowanie i studiowanie natury, więc czasem myślałem, że może zostanę naukowcem. Zmieniłem jednak zdanie, kiedy dostrzegłem tragiczny los ludzi bezlitośnie dręczonych przez kolonialny rząd japoński. Cierpieli tak ogromnie, że nie mogli zapewnić sobie nawet jedzenia. Wydawało mi się, że jako naukowiec — nawet gdybym zdobył nagrodę Nobla — nie będę w stanie otrzeć łez z oczu tak bardzo cierpiącego ludu.

Chciałem zostać osobą, która by umiała osuszyć łzy płynące z oczu ludzi i usunąć cierpienie z ich serc. Kiedy leżałem na ziemi w lesie i słuchałem śpiewu ptaków, myślałem: „Świat powinien być tak ciepły i pełen uczuć, jak te ptasie pieśni, a ja powinienem stać się kimś, kto sprawi, że życie ludzi będzie tak wonne, jak te kwiaty”. Nie wiedziałem, jaką drogę życiową mam obrać, aby to osiągnąć, byłem jednak coraz bardziej przekonany, że powinienem być tym, kto będzie w stanie dać ludziom szczęście.

Kiedy miałem dziesięć lat, moja rodzina przeszła na wiarę chrześcijańską — przede wszystkim dzięki memu cioteczemu dziadkowi Yoon Guk Moonowi, który był pastorem i całe swoje życie poświęcił żarliwej wierze. Odtąd wiernie uczęszczałem do kościoła na nabożeństwa, nie opuszczając żadnego tygodnia. Gdybym spóźnił się do kościoła choć o minutę, byłbym tak zawstydzony, że chyba nie potrafiłbym nawet podnieść głowy. Nie wiem, co mną kierowało, że w tak młodym wieku byłem aż tak zainspirowany, ale Bóg już wtedy zajmował ogromnie ważne miejsce w moim życiu. Coraz więcej czasu spędzałem, szukając odpowiedzi na pytania dotyczące życia i śmierci, a także bólu i cierpienia ludzi.

Kiedy miałem dwanaście lat, byłem świadkiem przenoszenia z jednego grobu do drugiego szczątków mojego pradziadka. Zazwyczaj tylko dorośli członkowie klanu byli dopuszczani do uczestniczenia w takiej ceremonii, ale ja bardzo chciałem zobaczyć na własne oczy, co się dzieje z ludźmi po śmierci. Ostatecznie rodzice dali się ubłagać i pozwolili mi tam pójść. Kiedy grób rozkopano i zobaczyłem szczątki, byłem zszokowany i przerażony. Gdy podczas uroczystej ceremonii dorośli otworzyli grób, zobaczyłem w nim tylko nędzny szkielet. Ani śladu rysów opisywanych mi tylekroć przez ojca i matkę. Został tylko ohydny widok białych kości.

Musiło minąć trochę czasu zanim otrząsnąłem się z szoku po zobaczeniu kości pradziadka. Powiedziałem sobie: „Mój pradziadek przecież musiał wyglądać tak samo jak my. Czy to oznacza, że moi rodzice, kiedy umrą, także się zmienią po prostu w garstkę białych kości? Czy tak się stanie także i ze mną? Wszyscy umierają, ale czy po śmierci po prostu tylko leżymy i nie potrafimy nawet myśleć?” Takie pytania prześladowały mnie bez przerwy.

Mniej więcej w tym samym czasie w naszym domu nastąpiło wiele dziwnych zdarzeń. Zwłaszcza jedno z nich zapadło mi w pamięć tak głęboko, jakby to było wczoraj. Kiedy nasza rodzina tkła materiał, zbieraliśmy strzępki nitek z krosien i chowaliśmy je w glinianym garnku, aż mieliśmy ich dosyć, żeby zrobić zwój tkaniny. Tkanina, jaką robiliśmy z tych strzępków, zwana yejang, była przeznaczona do szycia ceremonialnych strojów, używanych, kiedy dziecko z naszej rodziny brało

ślub. Pewnej nocy wszystkie te skrawki nici znalazły się porzucane na wszystkich gałęziach starego kasztanowca w sąsiedniej wsi. Obwieszane nimi drzewo zrobiło się zupełnie białe. Nie mogliśmy zrozumieć, jakim cudem ktoś mógłby zabrać nitki z garnka, zanieść je aż do kasztanowca, który rósł dość daleko od naszego domu, a potem je rozrzucić po całym drzewie. To nie wyglądało na dzieło rąk ludzkich i w związku z tym wystraszyło wszystkich we wsi.

Kiedy skończyłem lat szesnaście, przeżyliśmy wielką tragedię — w ciągu jednego roku zmarło pięcioro dzieci z mojego młodszego rodzeństwa. Nie znajduję słów, by opisać rozpacz rodziców; w tak krótkim czasie stracili pięcioro z trzynastorga dzieci. Śmierć wydawała się wtedy wszędzie szerzyć zniszczenie. Inni członkowie naszego rodu tracili zwierzęta ze swojego inwentarza. Jedna z krów zdechła nagle, mimo że dotychczas cieszyła się doskonałym zdrowiem. W innym domu życie straciło kilka koni, jeden po drugim. W trzecim znowu w ciągu jednej nocy zdechło siedem świń.

Cierpienie rodziny wydawało się być związane z cierpieniami narodu i całego świata. Martwiłem się coraz bardziej, widząc okropną sytuację narodu koreańskiego pod tyrańskimi rządami Japonii. Brakowało jedzenia. Żeby się wyżywić, ludzie musieli czasem zrywać trawę i odzierać korę z drzew, co tylko byli w stanie znaleźć, i gotować sobie z tego jedzenie. Wydawało się, że wojny na świecie będą trwać bez końca.

Pewnego dnia przeczytałem w gazecie wiadomość o samobójstwie jakiegoś ucznia średniej szkoły, chłopca w tym samym wieku, co ja. „Czemu on umarł?” — pytałem sam siebie. — „Co doprowadza człowieka do samobójstwa w tak młodym wieku?” Byłem tą wiadomością tak zdruzgotany, jakby dotyczyła kogoś mi bardzo bliskiego. Trzymałem w ręku gazetę z tym artykułem i głośno płakałem przez trzy dni i trzy noce. Łzy napływały bez przerwy i nie byłem w stanie ich powstrzymać.

Nie mogłem pojąć tej serii dziwnych wydarzeń ani tego, że tak tragiczne wypadki spotykają uczciwych ludzi. Widok białych kości ciotecznego dziadka sprawił, że zacząłem zadawać pytania dotyczące życia i śmierci, a szereg niezwykłych zdarzeń w naszym domu i poza nim spowodował, że kurczowo uchwyciłem się religii. Słowo Boże, które słyszałem w kościele, nie wystarczało mi jednak, gdyż nie dawało odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Aby znaleźć ulgę dla sfrustrowanego serca, w naturalny sposób zacząłem całą duszą zagłębiać się w modlitwę.

„Kim jestem? Skąd się wziąłem? Jaki jest cel życia? Co się dzieje z ludźmi po śmierci? Czy istnieje jakiś świat wiecznie żyjących dusz? Czy Bóg rzeczywiście istnieje? Czy faktycznie Bóg jest wszechmocny? A jeżeli jest, to dlaczego przygląda się tak spokojnie nieszczęściom tego świata? Jeżeli Bóg stworzył ten świat, to czy również stworzył cierpienia, jakie są na świecie? Co zrobić, aby zakończyć tragiczny okres japońskiej okupacji Korei? Jakie znaczenie mają cierpienia ludu koreańskiego? Dlaczego ludzie się nienawidzą, walczą ze sobą i wszczynają wojny?”

Moje serce pełne było takich poważnych, zasadniczych pytań. Nikt nie potrafił mi na nie odpowiedzieć; jedynym wyjściem była modlitwa. Pozwalała mi znaleźć ukojenie. Kiedy tylko przedkładałem wszystkie męczące mnie problemy Bogu, natychmiast moje cierpienia zniknęły, a na sercu robiło się lekko. Zacząłem spędzać na modlitwie coraz więcej czasu, aż doszło do tego, że modliłem się bezustannie przez całą noc. Skutkiem tego zdarzyło mi się pewne rzadkie i wspaniałe przeżycie, w którym Bóg odpowiedział na moje modlitwy. Tamten dzień na zawsze

pozostanie w mojej pamięci najpiękniejszym wspomnieniem w moim życiu — dniem, którego nigdy nie zapomnę.

Była noc przed Wielkanocą tego roku, kiedy kończyłem szesnaście lat. Przebywałem wtedy na Górze Myodu, modląc się przez całą noc i ze łzami błagając Boga o odpowiedzi na moje pytania. „Dlaczego stworzył świat tak pełen cierpień i rozpacz? Czemu ten wszechwiedzący i wszechmogący Bóg dopuszcza, aby świat był pogrążony w takim bólu? Co powinienem zrobić dla mojej tragicznej ojczyzny?” Tonąłem we łzach i bez przerwy powtarzałem te pytania. Wczesnym rankiem w dzień Wielkanocy, kiedy miałem za sobą całą noc spędzoną na modlitwie, zjawił się przede mną Jezus. Pojawił się nagle jak powiew wiatru i powiedział do mnie: „Bóg bardzo się martwi z powodu cierpień ludzkości. Musisz się podjąć specjalnej misji na ziemi, misji związanej z pracą dla Niebios”.

Tamtego dnia dokładnie widziałem smutną twarz Jezusa. Wyraźnie też słyszałem jego głos. To, że byłem świadkiem objawienia się Jezusa, sprawiło, że całe moje ciało gwałtownie się trzęsło, jak liście osiki drżą podczas silnego wiatru. Ogarnęły mnie równocześnie tak wielki strach, że czułem jakbym umierał, i wdzięczność tak głęboka, że wydawało mi się, że eksploduję. Jezus jasno mi mówił o pracy, którą muszę wykonać. Jego słowa były niezwykle — mówił o potrzebie wyratowania ludzkości z cierpień i sprawienia radości Bogu.

Moją pierwszą odpowiedzią było: „Nie mogę tego zrobić. Jak mógłbym dokonać czegoś takiego? Dlaczego powierzasz mi misję o takim wielkim znaczeniu?” Byłem naprawdę przerażony. Moim pragnieniem było w jakiś sposób uniknąć tej misji, przywarłem do brzegu jego szaty i żałośnie płakałem.

### **Im bardziej boli, tym więcej powinieneś kochać**

Byłem kompletnie zdezorientowany. Nie mogłem otworzyć serca przed rodzicami i podzielić się z nimi swoim wielkim sekretem. Ale nie mogłem też zatrzymać go tylko dla siebie. Nie miałem pojęcia, co robić. Jasne było tylko to, że otrzymałem specjalną misję od Niebios.

To była ogromna, olbrzymia odpowiedzialność. Drżałem ze strachu na myśl, że mógłbym jej sam nie podźwignąć. Jeszcze bardziej niż przedtem kurczowo uczepiłem się modlitwy, próbując uspokoić roztrzęsione serce. Ale nawet to nie pomagało. Mimo że się bardzo starałem, ani na chwilę nie mogłem się uwolnić od wspomnienia mojego spotkania z Jezusem. To spotkanie całkowicie odmieniło moje życie. Jego przejęty smutkiem wyraz twarzy wrył mi się w serce niczym piętno, i nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

Od tego dnia całkowicie zatopiłem się w Słowie Bożym. Bywało, że otaczała mnie tak nieprzebyta ciemność i byłem przepełniony takim bólem, że z trudem oddychałem. Innym razem moje serce wypełniała radość, czułem się, jakbym patrzył na poranne słońce wschodzące nad horyzontem. Próbując uspokoić serce i osuszyć łzy, skomponowałem następujący poemat:

#### **KORONA CHWAŁY**

*Gdy wątpię w ludzi, czuję ból.*

*Gdy ich osądzam, jest to nie do zniesienia.*

*Gdy nienawidzę ludzi, bez wartości jest całe me istnienie.*

*Lecz jeśli wierzę, jestem oszukiwany.  
Jeżeli kocham — zdradzany.  
Dziś cierpię i boleję, siedzę z głową w dłoniach.  
Czyżbym się mylił?  
Tak, mylę się,  
Bo nawet oszukani, nadal wierzymy.  
I choć zdradzeni, jednak przebaczymy.  
Kochajmy bezgranicznie nawet tych, co nas nienawidzą.  
Obetrzyj więc z łez oczy i z uśmiechem witaj  
Tych, którzy znają jedynie oszustwo,  
I tych, którzy zdradzają i nie czują żalu.  
O Panie, oto ból miłości.  
Spójrz na moje ręce.  
Połóż dłoń na mojej piersi.  
Moje serce rozdziera ogromne cierpienie.  
Jednak kiedy kochałem tych, co mnie gnębili,  
Odnosiłem zwycięstwo.  
A jeśli wy postąpicie tak samo,  
Ofiaruję wam Koronę Chwały.*

Przeżyłem wiele takich dni — one wprowadzały mnie coraz głębiej i głębiej w świat modlitwy. Przyjąłem nowe słowa prawdy, jakie mi bezpośrednio przekazał Jezus, i oddałem się całkowicie Bogu. Zacząłem żyć w zupełnie inny sposób. Miałem tyle spraw do przemyślenia, że stopniowo stawałem się bardzo małym, niewinnym chłopcem.

Każdy, kto podąża ścieżką Boga, musi dążyć do osiągnięcia celu całym sercem i z absolutnym poświęceniem. To wymaga wytrwałości. Od urodzenia jestem uparty, więc zawsze miałem bardzo wiele wytrwałości. Owe cechy, danej mi przez Boga, używałem do pokonywania trudności i upartego dążenia drogą, na którą mnie skierowano. Kiedykolwiek zaczynałem się wahać, przypominałem sobie tylko: „Otrzymałem słowo bezpośrednio od Boga” i odzyskiwałem równowagę umysłu. Nie było łatwo wybrać ten kierunek, bo wymagał ode mnie poświęcenia reszty młodości. Czasami myślałem, że powinienem raczej unikać takiej drogi.

Człowiek rozsądny pokłada nadzieję w przyszłości i stale dąży naprzód, niezależnie od stopnia trudności. Z kolei niemądry odrzuca myśl o przyszłości na rzecz doraźnych przyjemności. Ja też czasami miałem takie niemądre myśli, kiedy jeszcze byłem bardzo młody; ostatecznie jednak wybrałem drogę człowieka mądrego. Radośnie ofiarowałem swoje życie, żeby podążać drogą, jakiej sobie życzył Bóg. Gdybym nawet próbował, nie uniknąłbym tego — to była jedyna droga, jaką mogłem wybrać.

Ale dlaczego Bóg mnie wezwał? Nawet teraz, kiedy liczę już sobie dziewięćdziesiąt lat, codziennie się zastanawiam, dlaczego Bóg wezwał akurat mnie. Dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie wybrał właśnie mnie? Przecież nie dlatego, że miałem jakiś szczególnie piękny wygląd czy wybitny charakter, czy też wyjątkowo głębokie przekonanie. Byłem tylko zwyczajnym, upartym i niemądrym chłopakiem.

To, co Bóg we mnie dostrzegł, musiało być szczere serce, poszukujące Go ze łzami miłości. Niezależnie od czasu i miejsca — miłość jest czymś najważniejszym. Bóg poszukiwał człowieka, który by żył z sercem pełnym miłości i w obliczu cierpienia potrafił miłością usunąć jego skutki. Byłem prostym chłopakiem z wiejskiego osiedla, niczym się nie mogłem pochwalić. Nawet teraz z uporem twierdzę, że poświęciłem swoje życie, by żyć dla miłości Boga i niczego innego.

Nie było takiej rzeczy, którą mógłbym poznać samodzielnie, więc wszystkie swoje pytania powierzałem Bogu. Pytałem: „Boże, czy Ty rzeczywiście istniejesz?”, i tak się dowiedziałem, że On rzeczywiście istnieje. Pytałem: „Boże, czy masz jakieś szczególnie umiłowane pragnienia?”, i w ten sposób dowiedziałem się, że On ma pewne szczególnie umiłowane pragnienia. Pytałem: „Boże, czy mnie potrzebujesz?”, i oto jak odkryłem, że jestem Bogu potrzebny.

W tamtych dniach, kiedy moje modlitwy i oddanie docierały do Niebios, Jezus objawiał mi się i przekazywał specjalne przesłania. Gdy poważnie pragnąłem poznania czegokolwiek, Jezus pojawiał się z łagodnym wyrazem twarzy i objawiał mi prawdę. Jego słowa zawsze były trafne i trafiały głęboko w moje serce jak ostre strzały. To nie były jedynie słowa, to były objawienia na temat stworzenia wszechświata, które otwierały przede mną drzwi do nowej rzeczywistości. Kiedy Jezus mówił, jego słowa przypominały łagodny wietrzyk, ja zaś brałem je głęboko do serca i modliłem się z taką żarliwością, że siła tej modlitwy mogłaby wyrwać drzewa z korzeniami. Stopniowo dane mi było poznać, w jakim celu Bóg stworzył wszechświat, oraz poznać Boże zasady stworzenia.

Latem tamtego roku udałem się na pielgrzymkę po kraju. Nie miałem pieniędzy. Wchodziłem do domów i prosiłem, żeby mnie nakarmiono. Jeśli miałem szczęście, podjeżdżałem kawalek ciężarówką. W ten sposób zwiedziłem każdy zakątek kraju. Wszędzie gdzie byłem, widziałem cały mój kraj tonący we łzach. Nie było końca smutnym skargom cierpiących, głodujących ludzi. Ich żałosne lamentsy przechodziły we łzy, które płynęły jak rzeka.

„Ten straszny czas musi się zakończyć i to jak najszybciej” — mówiłem sobie. — „Nasz lud nie może być pozostawiony w cierpieniu, smutku i rozpacz. Muszę znaleźć jakiś sposób, by dostać się do Japonii i do Ameryki; cały świat musi się dowiedzieć o tym, jak wielki jest lud koreański”.

Dzięki tej pielgrzymce moja determinacja odnośnie przyszłych zadań stała się dwa razy silniejsza.

Kiedy zaciskałem pięści, mój umysł całkowicie się koncentrował; wtedy potrafiłem wyraźnie dostrzec ścieżkę, którą miałem podążać całe życie: „Na pewno ocalę swój naród i sprowadzę Boży pokój na tę ziemię”.

### **Nieostrzony nóż tępieje**

Po ukończeniu szkoły średniej przeprowadziłem się do Seulu i tam zamieszkałem sam w dzielnicy Heuksok-Dong; uczęszczałem do szkoły handlowo-technicznej Kyeongsung.

Zima w Seulu była wyjątkowo mroźna. Temperatura bardzo często spadała do minus dwudziestu stopni Celsjusza, a wtedy rzeka Han była skuta lodem. Dom, w którym mieszkałem, stał na wzgórzu i nie było w nim wodociągu. Wodę czerpaliśmy ze studni tak głębokiej, że trzeba było co najmniej dziesięciometrowego sznura, żeby cebrzyk dosięgnął lustra wody. Sznur stale się rwał, zrobiłem więc łańcuch i przyczepiłem do niego wiadro. Jednak za każdym razem, kiedy

wyciągałem wodę, dłonie przymarzały mi do łańcucha i musiałem stale w nie dmuchać, aby się nie odmroziły.

Walcząc z zimnem spożytkowałem swoje zdolności do robot na drutach i zrobiłem sobie sweter, grube skarpety, czapkę i rękawice. Czapka była tak elegancka, że kiedy ją wkładałem, idąc na miasto, niektórzy myśleli, że jestem kobietą.

Nigdy nie ogrzewałem swojego pokoju, nawet w najbardziej mroźne zimowe dni, przede wszystkim dlatego, że nie miałem pieniędzy na opał. Poza tym uważałem, że skoro mam w nocy dach nad głową, to i tak żyję w luksusie w porównaniu z bezdomnymi zmuszonymi do szukania względnie ciepłego kąta na ulicy. Któregoś dnia było tak zimno, że spałem, trzymając pod kocem żarówkę, która mnie trochę ogrzewała jak termofoz. Tej nocy gorąca żarówka sparzyła mnie tak, że w tym miejscu zeszła skora. Jeszcze teraz, kiedy ktoś wspomni przy mnie o Seulu, pierwszą rzeczą, jaka mi się z tym miastem kojarzy, jest zimno.

Moje posiłki składały się z miski ryżu i nie więcej niż jednego dodatku, podczas gdy przeciętny obiad koreański zawiera takich dodatków aż do dwunastu. Na każdy posiłek miałem tylko jeden dodatek. To zupełnie mi wystarczało. Nawet dziś, z racji przyzwyczajenia z tamtych czasów, gdy mieszkalem sam, wolę mieć tylko jeden dodatek, ale dobrze przyrządzony. Kiedy natomiast widzę stół zastawiony wieloma dodatkami, czuję się zażenowany. Gdy uczęszczałem do szkoły w Seulu, nigdy nie jadałem obiadu. Przyzwyczailem się do jedzenia tylko dwóch posiłków dziennie już w czasach, kiedy jako dzieciak waleasałem się po wzgórzach. Ten sposób odżywiania się kontynuowałem prawie do trzydziestego roku życia.

Okres pobytu w Seulu pozwolił mi zrozumieć, ile pracy trzeba poświęcić prowadzeniu domu.

W latach osiemdziesiątych wróciłem do Heuksok-Dong i zaskoczyło mnie, że dom, w którym kiedyś mieszkalem, stoi nadal. Mój pokój i podwórko, na którym wieszalem dawniej pranie, były dalej na swoim miejscu. Ze smutkiem natomiast spostrzegłem, że znikła studnia, z której czerpałem wodę, chuchając w dłonie.

W latach mego pobytu w Heuksok-Dong przyjąłem motto: „Zanim zaczniesz panować nad wszechświatem, przede wszystkim musisz rozwinąć umiejętność panowania nad samym sobą”. To znaczy, że aby mieć siłę do ratowania narodu i całego świata, najpierw trzeba ćwiczyć własne ciało. Ćwiczyłem je modlitwą i medytacją, a także poprzez uprawianie sportów i rozmaite ćwiczenia. Na skutek tego ani głód, ani żadne inne emocje czy pragnienia nie miały wpływu na moje ciało. Nawet podczas posiłku umiałem powiedzieć: „Ryżu! Chcę, żebyś stał się źródłem siły dla pracy, którą mam zamiar wykonać”. Nauczyłem się boksu, gry w piłkę nożną i technik samoobrony. Dlatego zachowałem giętkość młodego człowieka, choć od czasów młodości przybyło mi nieco na wadze.

W szkole handlowo-technicznej Kyeongsung był zwyczaj, że uczniowie na zmianę sprząkali sale lekcyjne. Moją klasę postanowiłem sprzątać sam — codziennie. Nie traktowałem tego jako swego rodzaju kary. To był wyraz w naturalny sposób wzbierającego we mnie pragnienia kochania tej szkoły bardziej niż ktokolwiek inny. Początkowo koledzy próbowali mi pomagać, ale wkrótce się przekonali, że tego nie pochwalam i że wolę pracować sam. Ostatecznie koledzy uznali: „Proszę bardzo, rob to sobie sam”. I tak sprzątanie stało się moim zajęciem.

Byłem wyjątkowo spokojnym uczniem. W odróżnieniu od moich kolegów, nie włączałem się do jałowych rozmów; często się zdarzało, że przez cały dzień nie powiedziałem nawet jednego słowa. Być może to było przyczyną, że chociaż nigdy nie brałem udziału w bojkach, koledzy traktowali mnie z szacunkiem i uważali na to, co robią w mojej obecności. Jeżeli szedłem do toalety, a tam stała długa kolejka czekających, natychmiast puszczali mnie jako pierwszego. Jeżeli któryś z uczniów miał jakiś problem, często bywałem tym, którego prosił o radę.

Byłem bardzo natarczywy w zadawaniu pytań podczas lekcji i wielu nauczycieli nie potrafiło mi na nie udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Na przykład, kiedy przerabialiśmy jakąś nową formułę matematyczną czy fizyczną, pytałem: „Kto opracował tę formułę? Proszę nam wyjaśnić krok po kroku, abym mógł ją dokładnie zrozumieć”. Nie ustąpiłem, aż otrzymałem jasne wytłumaczenie. Bywałem bezlitosny wobec nauczycieli, drążąc coraz głębiej. Nie potrafiłem przyjąć do wiadomości żadnej zasady na świecie, zanim jej szczegółowo nie rozpatrzyłem i nie wyobraziłem sobie dokładnie. Czułem, że chciałem być tą osobą, która pierwsza odkryła tak piękną formułę. Uparty charakter, który powodował, że potrafiłem jako mały chłopiec płakać całą noc, dawał o sobie znać także i w szkole. Tak jak cały zanurzałem się w modlitwie, tak samo pochłaniała mnie nauka, w którą wkładałem całą swoją szczerą i oddanie.

Każde zadanie, które wykonujemy, wymaga szczerości i oddania — i to nie tylko na dzień czy dwa. To musi być ciągły proces. Nóż, raz użyty i nie ostrzony, staje się tępy. To samo jest ze szczerością i oddaniem. Powinniśmy codziennie wkładać w pracę swój cały wysiłek z myślą, że codziennie ostrzemy nasze „ostrze noża”. Jakiegokolwiek jest to zadanie, jeżeli będziemy w ten sposób traktowali nasz wysiłek, ostatecznie osiągniemy stan mistyczny. Jeżeli weźmiesz do ręki pędzel i całą swoją szczerą i oddanie skierujesz na własną rękę, i powiesz sobie: „Wielki artysta przyjdzie tu i pomoże mi”, po czym skoncentrujesz umysł, będziesz w stanie stworzyć cudowny obraz, który będzie inspiracją dla świata.

Postanowiłem nauczyć się mówić szybciej i dokładniej, niż ktokolwiek inny. Szedłem do małego pomieszczenia, w którym nikt nie mógł mnie słyszeć, i na głos ćwiczyłem rozmaite łamańce językowe. Uczyłem się jak wypowiedzieć bardzo szybko to, co chciałem przekazać. W rezultacie byłem w stanie powiedzieć dziesięć słów w czasie, który zwykle jest potrzebny do wypowiedzenia jednego. Nawet teraz, kiedy już jestem bardzo stary, potrafię mówić bardzo szybko. Niektórzy ludzie twierdzą, że mówię tak szybko, iż mają trudności ze zrozumieniem mnie; jednak serce moje tak bardzo się spieszy, że nie jestem w stanie mówić powoli. Głowę mam pełną rzeczy, które chcę wypowiedzieć. W jaki zatem sposób mogę zwolnić?

Pod tym względem jestem bardzo podobny do swego dziadka, który uwielbiał rozmowy z ludźmi. Dziadek potrafił przez trzy, cztery godziny rozmawiać z ludźmi w naszym pokoju gościnnym, wyjaśniając im swoje zdanie na temat wydarzeń dnia. Ja jestem taki sam. Kiedy się znajdę w towarzystwie ludzi, z którymi czuję porozumienie serc, tracę całkowicie poczucie czasu i nie zdaję sobie sprawy, że już zapadła noc albo że wschodzi słońce. Słowa płyną wtedy ze mnie niepowstrzymanym potokiem. W takiej sytuacji nie czuję głodu; po prostu pragnę tylko dalej mówić. Dla ludzi, którzy mnie słuchają, bywa to męczące — widzę, jak na ich czołach pojawiają się krople potu. Kiedy mówię, po mojej twarzy pot także spływa strugami, ale słuchacze nie mają odwagi poprosić mnie, abym przestał. Często kończy się na tym, że spędzamy tak wspólnie całą noc.

### **Klucz do wielkiej tajemnicy**

Tak jak w mojej wsi, gdzie wdrapywałem się na wszystkie otaczające szczyty gór, tak teraz zwiedzałem każdy zakątek Seulu. W tamtych czasach z jednego końca miasta na drugi biegła linia tramwajowa. Bilet kosztował tylko pięć jeonów (*jeon* to mniej więcej kilka groszy), ale nie chciałem wydawać pieniędzy i wolałem chodzić do centrum piechotą. W gorące letnie dni podczas tych przechadzek spływałem potem, a w mroźne dni zimowe musiałem niemal biec, torując sobie drogę w podmuchach dotkliwego arktycznego wiatru. Szedłem tak szybko, że potrafiłem przejść z Heuksok-Dong przez rzekę Han do domu towarowego Hwa Shin w dzielnicy Jong Ro zaledwie w czterdzieści pięć minut. Większości ludzi zabiera to co najmniej półtorej godziny, możecie więc sobie wyobrazić, jak szybko szedłem.

Sumę, którą oszczędzałem na bilecie tramwajowym, oddawałem z reguły ludziom będącym w większej potrzebie niż ja. Było to tak niewiele, że właściwie wstyd było dawać taką kwotę, ale dawałem ją tak serdecznie, jakbym wręczał fortunę. Robiłem to, modląc się, żeby te pieniądze stały się dla obdarowanego początkiem dalszych błogostawieństw.

Zawsze w kwietniu otrzymywałem od rodziny pieniądze na opłacenie całorocznego czesnego. Nie potrafiłem jednak spokojnie patrzeć, jak ludzie wokół mnie cierpią z powodu kłopotów finansowych, więc te pieniądze zwykle nie starczały mi nawet do maja. Pewnego razu, kiedy byłem w drodze do szkoły, spotkałem kogoś tak chorego, że wyglądał, jakby miał zaraz umrzeć. Poczuję taki żal, że nie mogłem przejść obok tego człowieka obojętnie. Wziąłem go na plecy i zaniósłem do oddalonego o jakieś półtora kilometra szpitala. Miałem przy sobie pieniądze na czesne i zapłaciłem nimi za tego chorego. Ale po opłaceniu szpitala nie zostało mi nic! Przez kilka następných dni szkoła systematycznie żądała pieniędzy za czesne. W końcu przyjaciele, współczując mi, złożyli się na mnie. Nigdy nie zapomnę kolegów, którzy mi wtedy pomogli wydobyć się z kłopotów.

Dawanie i otrzymywanie pomocy to relacje określone przez niebo. W danej chwili możecie sobie z tego nie zdawać sprawy, ale potem, kiedy spojrzycie wstecz, zrozumiecie. Powiecie: „Och, a więc dlatego Bóg posłał mnie właśnie tam i właśnie w takim momencie!” Zatem jeżeli pojawi się nagle przed wami osoba potrzebująca pomocy, powinniście wiedzieć, że to Niebiosa posłały was do niej, aby jej pomoc, więc zróbcie dla niej wszystko, co tylko się da. Jeżeli Niebo pragnie, żebyście tej osobie pomogli dziesięciokrotnie, to nie wystarczy, jeżeli zrobicie to pięć razy. Jeżeli Niebo mówi, że trzeba pomoc dziesięć razy, pomóżcie stukrotnie. Pomagając komuś, jeżeli to będzie konieczne, powinniście być gotowi całkowicie opróżnić wasz portfel.

W Seulu po raz pierwszy w życiu natrafiłem na *baram ddok*, puszyste, „wypełnione powietrzem” ciasteczko ryżowe. Ciasteczka te były różnokolorowe i ozdobione pięknymi wzorami. Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy, byłem zaskoczony ich urodą. Ale gdy ugryzłem jedno z nich, okazało się, że w środku są puste. Po prostu rozpadały się i znikwały w ustach.

To sprawiło, że doszedłem do pewnego wniosku na temat Seulu. Otóż Seul był taki jak to puste w środku ciasteczko ryżowe. Zrozumiałem, dlaczego mieszkańcy Seulu są często uważani przez innych Koreańczyków za samolubnych. Na zewnątrz Seul wyglądał jak miasto pełne bogatych i ważnych ludzi. W rzeczywistości jednak był pełen biedaków. Pod mostem nad rzeką Han mieszkało mnóstwo żebraków odzianych w łachmany. Odwiedzałem ich tam, strzygłem im włosy



i całym sercem dzieliłem się z nimi. Biednym ludziom nie brak łez. Nie brak im smutków zamkniętych w sercach. Wystarczyło, że rzuciłem któremuś z nich parę słów współczucia, już wybuchał płaczem. Bywało, że któryś z nich ofiarował mi ryż, który przedtem wyżebrał. Podawał mi go rękami zarośniętymi brudem. Nigdy nie odmawiałem takiej strawy. Brałem ją od nich z radosnym sercem.

W moim rodzinnym mieście bywałem co niedzielę w kościele i nadal kontynuowałem tę praktykę w Seulu. Chodziłem przeważnie do kościoła Jezusowego Myungsudae, znajdującego się w dzielnicy Heuksok-Dong, a także do Kościoła Zielonoświątkowego Seobinggo, gdzie nabożeństwa odbywały się na piaszczystym brzegu rzeki Han. W mroźne zimowe dni, gdy przechodziłem przez zamrzniętą rzekę na drugi brzeg do Seobinggo- -Dong, lód trzeszczał mi pod nogami.

W kościele pracowałem jako nauczyciel w szkółce niedzielnej. Dzieciaki zawsze bardzo lubiły moje ciekawe lekcje. Teraz już nie potrafię tak opowiadać dowcipów jak za młodych lat, ale wtedy byłem dobry w opowiadaniu zabawnych historyjek. Kiedy płakałem, dzieci płakały razem ze mną, a kiedy się śmiałem, one też się śmiały. Byłem wśród nich tak popularny, że wszędzie za mną chodziły.

Za Myungsudae jest Gora Seodal, znana też jako Gora Darma. Często wdrapywałem się na wielkie skały na tej górze i spędzałem tam całą noc na modlitwie. Czy to w upale czy w zimnie — zagłębiałem się w modlitwie, nie żałując nieprzespanej nocy. Kiedy się zaczynałem modlić, płakałem tak bardzo, że łzy ciekły mi z oczu i z nosa. Potrafiłem godzinami modlić się, rozważając słowa dane mi przez Boga. Jego słowa były jak zakodowane przesłania i czułem, że powinienem się jeszcze bardziej zagłębić w modlitwie. Kiedy myślę o tym teraz, zdaję sobie sprawę, że już wtedy Bóg dał mi do rąk klucz otwierający drzwi tajemnicy. Jednak wówczas nie byłem w stanie tych drzwi otworzyć; moje modlitwy były niewystarczające.

Byłem tym wszystkim tak przejęty, że kiedy jadłem, nie czułem, że jem. Kiedy szedłem spać, zamykałem oczy, ale nie mogłem zasnąć. Inni uczniowie mieszkający w tym samym domu nie wiedzieli, że chodzę na wzgórze, żeby się modlić. Jednak musieli uważać, że się od nich różnię, ponieważ traktowali mnie z szacunkiem. Zasadniczo nasze wzajemne relacje były dobre i często ze śmiechem opowiadaliśmy sobie zabawne historie.

Potrafię zbudować dobre stosunki z każdym człowiekiem. Jeżeli przychodzi do mnie staruszka, potrafię się z nią zaprzyjaźnić. Jeżeli dzieci — bawię się z nimi. Gdy traktujemy innych z miłością, to z każdym można nawiązać relację serca.

Pani Gi Wan Lee stała się mi bliska po tym, jak poczuła inspirację pod wpływem moich modlitw w czasie porannych nabożeństw w kościele. Nasza przyjaźń trwała ponad pięćdziesiąt lat, aż do momentu, gdy opuściła ten świat w wieku lat osiemdziesięciu. Jej młodsza siostra, pani Gi Bong Lee, była zawsze bardzo zajęta wynajmowaniem pokoi w swoim domu, ale ze mną utrzymywała bardzo serdeczne relacje. Potrafiła mówić, że czuje się niedobrze, o ile nie zrobi czegoś dobrego dla mnie. Próbowwała mi podawać do posiłku dodatkowe dania. Nie byłem nazbyt rozmowny ani zabawny, więc nie wiem, dlaczego chciała mnie tak dobrze traktować. Jakiś czas później, gdy japońska policja trzymała mnie w komisariacie w Kyeonggi, pani Gi Bong Lee przynosiła mi do aresztu ubranie i jedzenie. Nawet teraz, kiedy o niej pomyślę, czuję ciepło w sercu.

Była też pani Song, właścicielka niewielkiego sklepiu w pobliżu domu, w którym wynajmowałem pokój. W tamtych czasach bardzo mi pomogła. Twierdziła, że każdy, kto mieszka z dala od rodzinnego domu, jest zawsze głodny — i przynosiła mi ze sklepu to, czego nie zdołała sprzedać. Sklepiu był mały i właścicielka z trudem zarabiała pieniądze na własne utrzymanie, ale zawsze serdecznie opiekowała się mną.

Pewnego dnia uczestniczyłem w nabożeństwie na piasku na brzegu rzeki Han. Kiedy nadeszła pora obiadu, każdy szukał sobie miejsca, żeby usiąść i zjeść. Ja nie miałem zwyczaju jeść obiadu i nie czułem się dobrze, siedząc tam i nic nie robiąc, podczas gdy inni jedli. Cichutko odszedłem i usiadłem na kupce kamieni. Pani Song dostrzegła mnie i przyniosła dwa kawałki chleba oraz pyszne lody. Jakże jej dziękowałem! Wszystko to kosztowało po jeonie za sztukę, w sumie tylko cztery jeony, ale nigdy nie zapomniałem, jak wtedy byłem jej bardzo wdzięczny.

Kiedy mi ktoś pomaga, zawsze o tym pamiętam, bez względu na to, jak nieznaczną mogła by być ta pomoc. Nawet teraz, kiedy mam dziewięćdziesiąt lat, potrafię z pamięci wyrecytować wszystkie chwile, kiedy ludzie mi pomogli i co dla mnie zrobili. Nigdy nie zapomnę tych, którzy nie wahali się narazić na poważne kłopoty z mojego powodu i wielkodusznie dawali mi swoje błogosławieństwa.

Jeżeli ktoś zrobi mi przysługę, uważam, że trzeba odplacić mu tym samym. Jeżeli zaś nie mogę spotkać osoby, która ją dla mnie zrobiła, ważne jest zachować tę osobę w swoim sercu. Żyję z poczuciem, że odplacę jej, pomagając komuś innemu.

### **Jak płonąca ognista kula**

Po ukończeniu w 1942 roku Instytutu Kyeongsung pojechałem na dalsze studia do Japonii. Udałem się tam, gdyż byłem zdania, że powinienem zdobyć jak najwięcej wiedzy o tym kraju. W pociągu do Busan nie mogłem pohamować łez. Zastoniłem się płaszczem i głośno płakałem. Z nosa mi leciało, twarz mi spuchła od płaczu. Czułem żal, że opuszczam ojczyznę tak bardzo cierpiącą pod jarzmem kolonialnym. Płacząc, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że wzgórza i rzeki też płaczą, może nawet bardziej niż ja. Widziałem na własne oczy łzy spływające z traw i drzew. Na ten widok powiedziałem sobie: „Obiecuję tym wzgórzom i strumieniom mojej ojczyzny, że wrócę, niosąc jej wyzwolenie. Nie płaczcie, ale czekajcie na mnie”.

Pierwszego kwietnia o drugiej nad ranem wsiałem w Busan na prom płynący do japońskiego miasta Shimonoseki. Tej nocy wiał silny wiatr, ale nie byłem w stanie zejść z pokładu. Stałem i patrzyłem, jak światła Busan oddalają się coraz bardziej. Zostałem na pokładzie aż do rana. Po przybyciu do Tokio zapisałem się do Waseda Koutou Kougakko, szkoły technicznej należącej do Uniwersytetu Waseda. Uczyłem się na Wydziale Inżynierii Elektrycznej. Wybrałem ten wydział, ponieważ uważałem, że bez znajomości nowoczesnej inżynierii nie zdołam stworzyć nowej filozofii religii.

Niewidzialny świat matematyki ma wiele wspólnego z religią. Żeby dokonać czegoś wielkiego, człowiek powinien znakomicie opanować potęgę rozumowania. Mam zdolności matematyczne — może z powodu mojej dużej głowy — i to, co inni uważają za trudne, ja studiuję z wielką przyjemnością.

Moja głowa jest tak wielka, że trudno mi dobrać pasujący na nią kapelusz. Musiałem dwa razy chodzić do fabryki, w końcu uszyto kapelusz specjalnie dla mnie. Rozmiar mojej głowy może też mieć związek z moimi umiejętnościami skupiania się na czymś i kończenia w stosunkowo szybkim czasie tego, co innym zajmuje kilka lat.

Podczas nauki w Japonii zasypywałem profesorów pytaniami, zupełnie tak jak w Korei. Wystarczyło, że zacząłem zadawać pytania, a mogłem je ciągnąć bez końca. Niektórzy z wykładowców udawali, że mnie nie widzą, i najzwyczajniej ignorowali mnie, gdy pytałem: „Co pan o tym myśli?” Jeśli tylko miałem jakieś wątpliwości odnośnie czegoś, nie byłem zadowolony, dopóki nie zbadałem całej sprawy aż do samych podstaw. Nie starałem się naumyślnie przeszkadzać wykładowcom. Uważałem po prostu, że skoro mam przestudiować dany przedmiot, powinienem to zrobić w stu procentach.

Na moim biurku w pensjonacie zawsze leżały obok siebie trzy otwarte Biblie. Jedna była po koreańsku, druga po japońsku, trzecia po angielsku. Czytałem te same fragmenty w tych trzech językach, powtarzałem je wiele razy. Za każdym razem, kiedy przeczytałem jakiś fragment, podkreślałem niektóre wiersze i robiłem notatki na marginesach, aż w końcu stronicie moich Biblii pokryły się czarnym atramentem i trudno je było czytać.

Wkrótce po rozpoczęciu szkoły wziąłem udział w zorganizowanej przez Stowarzyszenie Studentów Koreańskich uroczystości powitania nowych kolegów przybyłych z kraju. Na tej uroczystości odśpiewałem z wielkim przejęciem koreańską pieśń, demonstrując wszystkim swoją wielką miłość ojczyzny. Obecna tam była japońska policja, a był to czas, kiedy od Koreańczyków oczekiwano całkowitego zasymilowania się z kulturą japońską. Pomimo tego zaśpiewałem tę koreańską pieśń z wielką dumą. Duk Mun Eom, który w tym samym roku wstąpił na Wydział Inżynierii Architektonicznej, był głęboko wzruszony, słysząc jak śpiewam tę pieśń, i zostaliśmy przyjaciółmi na całe życie.

W tym czasie uczniowie koreańscy, uczący się w rozmaitych szkołach w okolicach Tokio, utworzyli podziemny ruch niepodległościowy. Było to najzupełniej naturalne, jako że nasz kraj jęczał w męczarniach pod jarzmem kolonializmu japońskiego.

Ruch powstał w odpowiedzi na to, co Japończycy nazywali „Wielką wojną wschodnioazjatycką” (1937 – 1945). W miarę jak się ta wojna nasilała, Tokio zaczęło powoływać koreańskich studentów jako „studentów-żołnierzy” i wysyłać ich na front. Właśnie te działania spowodowały wzmożoną aktywność podziemnego ruchu niepodległościowego. Prowadziliśmy szczegółowe dyskusje na temat, co zrobić z Hirohito, cesarzem Japonii. W tym ruchu zajmowałem jedną z czołowych pozycji. Wymagało to pracy w ścisłym powiązaniu z Rządem Tymczasowym Republiki Korei, działającym w Szanghaju, a kierowanym przez Kim Gu. Moje zadania na tym stanowisku groziły karą śmierci. Nie wahałem się jednak, bo uważałem, że jeżeli zginę, to w słusznej sprawie.

W pobliżu Uniwersytetu Waseda był komisariat policji. Japońska policja zwietrzyła coś na temat mojej działalności i miała mnie na oku. Zawsze wiedziała, kiedy wybierałem się z powrotem do Korei na letnie wakacje, i pilnowała mnie aż do portu, aby się upewnić, że wyjechałem. Nie pamiętam już, ile razy byłem aresztowany przez policję, bity, torturowany i zamykany w celi. Jednak nawet podczas najgorszych tortur odmawiałem im udzielania informacji, których szukali.

Im mocniej mnie bili, tym bardziej się robiłem zatwardziały. Pewnego razu policja ścigała mnie po moście Yotsugawa i w rezultacie wywiązała się walka. Wyłamałem wtedy pręt z balustrady i użyłem jako broni. W tamtych czasach byłem jak kula ognia.

### **Zaprzysiężam się z robotnikami, dzieląc ich cierpienie**

Podobnie jak to robiłem w Seulu, postanowiłem dotrzeć do każdego zakątka Tokio. Kiedy moi koledzy jeździli w takie miejsca jak Nikko, by oglądać piękne widoki, ja wolałem zostawać w mieście i obchodzić po kolei wszystkie dzielnice Tokio. Przekonałem się, że to miasto na pierwszy rzut oka wygląda na luksusowe, ale w rzeczywistości jest pełne zubożałych ludzi. I znowu oddawałem biednym wszystkie pieniądze, jakie dostawałem z domu.

Wtedy cała Japonia również cierpiała głód. Wielu spośród uczniów koreańskich było w trudnej sytuacji finansowej. Kiedy co miesiąc dostawałem swój przydział kartek żywnościowych, wszystkie oddawałem tym, którzy ich nie dostawali, mówiąc: „Jedzcie. Jedzcie wszystko, co chcecie”.

Nie martwiłem się o zarabianie pieniędzy. Mogłem się zgłosić gdziekolwiek, pracować na dniówkę jako robotnik i jeszcze dostać jedzenie. Lubiłem zarabiać pieniądze i używać ich, aby pomóc w opłaceniu czesnego uczniom, którzy nie mieli pieniędzy. Pomaganie innym i dawanie im jedzenia przysparzało mi energii.

Kiedy już rozdałem innym wszystkie pieniądze jakie miałem, pracowałem jako dostawca, jeżdżąc czymś w rodzaju rikszy — pojazdu poruszanego rowerem. Docierałem tym pojazdem do wszystkich dzielnic Tokio. Kiedyś, gdy byłem w Ginza — tam, gdzie jest tyle oślepiających świateł — wiozłem słup telefoniczny, który mi spadł z rikszy na samym środku skrzyżowania. Wszyscy wokoło uciekali, bojąc się o własne życie. Właśnie z powodu takich doświadczeń, do dzisiaj znam Tokio jak własne pięć palców.

Byłem robotnikiem wśród robotników i przyjacielem robotników. Tak jak śmierzący potem robotnicy, szedłem do pracy i tyrałem, aż pot mi spływał po całym ciele. Byli moimi braćmi i nie zwracałem uwagi na żadne brzydkie zapachy. Spałem z nimi pod jednym kocem, tak brudnym, że wszy wędrowały po nim czarnymi szeregami. Nie wahałem się ścisnąć rąk zarośniętych brudem. Ich pot zmieszany z brudem był przesycony nieodpartym żarem serca. Właśnie te ich gorące serca tak bardzo mnie pociągały.

Początkowo pracowałem w hucie stali i stoczni Kawasaki. W stoczni były barki do przewożenia węgla. Pracowaliśmy trojkami, często do pierwszej w nocy, napełniając barkę węglem — wchodziło na nią około stu dwudziestu ton. My, Koreańczycy, potrafiliśmy zrobić w jedną noc to, co Japończykom zabierało trzy dni.

Na niektórych stanowiskach pracy spotykało się ludzi wyciskających z robotników krew i pot. Często byli to brygadziści, którzy bezpośrednio kierowali robotnikami. Zabierali trzydzieści procent z wypłat robotników i zatrzymywali dla siebie. Robotnicy nie byli w stanie nic na to poradzić. Brygadziści wyzyskiwali słabych, ale zabiegali o względy silnych. Pewnego dnia tak się wściekłem na jednego z nich, że w końcu poszedłem do niego z dwoma kolegami i zażądałem, by wypłacił robotnikom ich pełne zarobki.

„Jeżeli każesz komuś pracować, masz mu za to zapłacić dokładnie tyle, ile mu się należy” — powiedziałem.

Ponieważ nadal odmawiał, poszliśmy do niego znowu nazajutrz, a nawet na trzeci dzień. Twardo postanowiliśmy naciskać, aż ustąpi. W końcu go tak kopnąłem, że się przewrócił na ziemię. Zwykle jestem spokojny i nie zaczynam bojki, ale wtedy byłem tak zły, że w końcu się odezwał mój uparty charakter z dzieciństwa.

W hucie stali Kawasaki były kadzie, w których przechowywano kwas siarkowy. Robotnicy musieli je czyścić, wchodząc do nich i wyrzucając na zewnątrz resztki surowca. Opary kwasu siarkowego były wyjątkowo trujące i nie podobna było wytrzymać w kadzi dłużej niż piętnaście minut. Pracując w tak niebezpiecznych warunkach, robotnicy ryzykowali życie, byle tylko zdobyć żywność. Jedzenie było bezcenne.

W tamtych czasach zawsze byłem głodny, ale pilnowałem, żeby nigdy nie zjeść posiłku z myślą o sobie. Sądziłem, że muszą zaistnieć specjalne powody, żeby zjeść dany posiłek. Zatem kiedy siadałem do jedzenia, pytałem sam siebie o przyczyny własnego głodu: „Czy rzeczywiście ciężko pracowałem?”, „Czy pracowałem dla siebie czy dla sprawy publicznej?” Potrafiłem postawić przed sobą miskę ryżu i powiedzieć: „Zjadam cię, aby móc wykonać bardziej szlachetne zadania i zrobić dla dobra publicznego więcej, niż zrobiłem wczoraj”. Wówczas ryż uśmiechał się do mnie, jakby przyznawał mi rację. W takich wypadkach czas spędzony na posiłku stawał się radosny i pełen mistycyzmu. Kiedy nie czułem się w nastroju do takiej przemowy, opuszczałem posiłek niezależnie od tego, jak bardzo byłem głodny. W rezultacie było niewiele dni, gdy zjadałem dwa posiłki.

Bynajmniej nie ograniczałem jedzenia do dwóch posiłków z powodu braku apetytu! W gruncie rzeczy, kiedy tylko zaczynałem jeść, nie było granic ilościom, jakie potrafiłem pochłonąć. Zjadłem kiedyś na raz jedenaście misek *udon* (zupa z makaronem). Innym razem zjadłem siedem misek ryżu okraszonego kurczakiem i smażonym jajkiem. Mimo takiego apetytu zachowałem zwyczaj pomijania obiadu i ograniczania się do dwóch posiłków dziennie, aż do czasu, gdy miałem już ponad trzydzieści lat.

Uczucie głodu jest rodzajem nostalgii. Wiedziałem bardzo dużo o nostalgii głodu, ale wierzyłem, że najmniejsza ofiara, jaką mogę złożyć, to poświęcenie jednego posiłku dziennie dla dobra świata. Nigdy też nie pozwalałem sobie na noszenie nowych ubrań. Niezależnie od tego jak było zimno, nie ogrzewałem swojego pokoju. Kiedy już zimno było nie do wytrzymania, przykrywałem się gazetą; dawała tyle ciepła, co jedwabna kołdra. Doskonale znam wartość płachty gazety.

Czasami po prostu przenosiłem się na jakiś czas do dzielnicy Shinagawa, zamieszkałej przez biedotę. Spałem z nimi, przykrywając się szmatami. W gorące dni lata wyskubywałem im wszy z włosów. Razem z nimi jadłem ryż. Na ulicach Shinagawa było bardzo dużo prostytutek. Słuchałem ich opowiadań o rozmaitych przeżyciach i stałem się ich najlepszym przyjacielem... nie wypiwszy ani kropli alkoholu. Niektórzy ludzie twierdzą, że muszą być pijani, żeby spokojnie mówić o tym, co czują i myślą, ale to najzwyczajniejsza wymówka. Kiedy te kobiety się zorientowały, że jestem szczerzy w moim współczuciu dla nich nawet bez picia alkoholu, otwierały przede mną serca i opowiadały o wszystkich swoich kłopotach.

Podczas studiów w Japonii miałem się różnych prac fizycznych. Byłem dozorcą budynku jakiegoś biura. Pisałem listy niepiśmiennym. Pracowałem w rozmaitych przedsiębiorstwach, bywałem także brygadzystą. Poza tym przepowiadałem przyszłość. Kiedy szybko potrzebowałem pieniędzy, malowałem na kartkach kaligrafie i sprzedawałem je.

Nigdy jednak nie zaniedbywałem nauki. Wierzyłem, że to wszystko stanowi element procesu kształtowania siebie. Robiłem wszystko i poznawałem wszelkiego rodzaju ludzi. Dzięki temu dużo się o nich nauczyłem. Dzięki tym doświadczeniom wystarczy teraz, że spojrzę na człowieka i już wiem, czym się zajmuje i czy jest dobrym człowiekiem. Nie muszę się długo nad tym zastanawiać, ta wiedza przychodzi do mnie automatycznie.

Nadal wierzę, że aby rozwinąć w sobie właściwy charakter, trzeba przejść przez wiele trudności, zanim się skończy trzydziestkę. Ludzie powinni przeżyć ogniową próbę rozpacz na samym dniu egzystencji i osobiście poznać, jak to jest. Powinni odkryć nowe możliwości w samym środku piekła. Tylko kiedy się wydobędziemy z głębin rozpacz i poweźmiemy nowe postanowienie, możemy się odrodzić jako ludzie gotowi do pionierskiej pracy o nową przyszłość.

Nie powinniśmy patrzeć tylko w jednym kierunku. Powinniśmy widzieć zarówno tych, co zajmują wyższe pozycje, jak i tych, co są niżej. Powinniśmy umieć patrzeć na wschód, zachód, południe i północ. Od tego jak dobrze potrafimy widzieć oczami umysłu zależy, czy przeżyjemy pomyślnie swoje życie. Ale żeby umieć patrzeć oczami umysłu, musimy zdobyć wiele doświadczeń i zapamiętać je. Nawet w najtrudniejszych sytuacjach powinniśmy zachować spokój, okazać ciepło innym, pozostać niezależnym, a przy tym przystosować się do każdych okoliczności.

Człowiek o dobrym charakterze musi być gotowy na to, że może się wznieść na wysoką pozycję, a następnie szybko spaść na bardzo niską. Większość ludzi boi się bardzo owego spadania z wysokiej pozycji, zatem robią wszystko, żeby się na niej utrzymać. Ale przecież woda, która nie płynie, staje się stęchła. Człowiek, który wchodzi na wysoką pozycję, musi umieć zejść z powrotem na dół i poczekać, aż nadejdzie czas ponownego wspinania się wyżej. Gdy taka możliwość się pojawi, może wznieść się nawet wyżej niż przedtem. Ludzie, którzy to potrafią, staną się wielcy i będą ogólnie podziwiani; zostaną wielkimi przywódcami. To są doświadczenia, jakie każdy powinien zdobyć zanim skończy trzydzieści lat.

Dzisiaj mówię młodym ludziom, że powinni zakosztować wszystkiego na świecie. Powinni — bezpośrednio lub pośrednio — doświadczyć wszystkiego, tak jakby pożerali encyklopedię. Dopiero wtedy będą mogli uformować własną tożsamość. Tożsamość człowieka jest jego czysto podmiotową naturą. Kiedy ktoś potrafi powiedzieć: „Mogę obejść cały kraj i nigdy nie spotkam człowieka, który byłby w stanie mnie pokonać”, wówczas taka osoba jest gotowa podjąć się każdego zadania i ufa, że wykona je z powodzeniem. Gdy żyjemy w taki sposób, osiągniemy sukces. Jest on wówczas zapewniony. Do takiego właśnie wniosku doszedłem, kiedy żyłem jak żebrak w Tokio.

Dzieliłem się jedzeniem i spałem z robotnikami w Tokio, wspólnie z żebrakami cierpiałem głód, nauczyłem się twardego życia i tak zrobiłem swój doktorat z filozofii cierpienia. Dopiero wówczas byłem w stanie pojąć wolę Boga pracującego nad przyniesieniem zbawienia ludzkości. Ważne, żeby przed trzydziestką zostać królem cierpienia. Sposobem na osiągnięcie chwały Królestwa Niebieskiego jest stanie się królem cierpienia.

### Cisza morska w sercu

Wraz z rozwojem działań wojennych sytuacja Japonii zaczynała się stawać coraz bardziej rozpaczliwa. Potrzeba gwałtownego uzupełniania przeredzających się szeregów wojska sprawiła, że państwo zaczęło dawać studentom dyplomy wcześniej, aby wysyłać ich na front. W związku z tym ja również otrzymałem dyplom o pół roku wcześniej.

Skoro tylko ustalono datę ukończenia moich studiów na dzień 30 września 1943 roku, wystąpiłem rodzinie telegram: „Wracam na *Konron Maru*”, podając nazwę statku, którym miałem płynąć z Shimonoseki do Busan. Jednak w dniu, w którym miałem wyjechać z Tokio z powrotem do Korei, stało się coś bardzo dziwnego — oto moje stopy przywarły do ziemi i nie mogłem się po prostu ruszyć z miejsca. Mimo że usilnie się starałem, nie mogłem unieść stop nad ziemię, żeby pójść na stację kolejową w Tokio.

Powiedziałem sobie wtedy: „Widocznie Niebo nie chce, żebym popłynął tym statkiem”. Zdecydowałem więc, że jeszcze trochę zostanę w Japonii i udałem się z kolegami na wycieczkę na szczyt Góry Fuji. Kiedy po paru dniach wróciłem do Tokio, zastałem cały kraj poruszony wypadkiem *Konron Maru*, statku, którym miałem płynąć, a który zatonął w drodze do Busan. Powiedziano mi, że utonęło ponad pięćset osób, w tym wielu studentów uniwersytetu. *Konron Maru* był wielkim statkiem i wielką dumą Japonii. Zatopiła go amerykańska torpeda.

Kiedy moja matka usłyszała, że został zatopiony statek, którym miał płynąć jej syn, natychmiast wybiegła z domu, zapominając nawet włożyć buty. Przebiegła tak bosą osiem kilometrów do stacji kolejowej i pojechała prosto do Busan. Kiedy się tam pojawiła w Morskim Komisariacie Policji, odkryła, że na liście pasażerów nie ma mojego nazwiska. Niemniej pensjonat, w którym mieszkałem w Tokio, poinformował matkę, że spakowałem swoje rzeczy i wyprowadziłem się. To ją całkiem dezorientowało i strasznie się martwiła. Ciągle tylko powtarzała moje imię, nawet nie zdając sobie sprawy, że na jej bosych stopach porobiły się wielkie pęcherze.

Mogę sobie doskonale wyobrazić, jak musiała wychodzić z siebie ze zdenerwowania na myśl, że jej synowi mogło przytrafić się coś złego. Rozumiem stan serca mojej matki, ale od dnia, kiedy postanowiłem pójść ścieżką Boga, stałem się dla niej bardzo złym synem. Nie mogłem sobie pozwolić, by osobiste emocje wiązały mi ręce. Dlatego nie napisałem matce, że nie popłynąłem tym statkiem, który zatonął, mimo że wiedziałem, że będzie głęboko przejęta sprawą mojego bezpieczeństwa.

Kiedy w końcu wróciłem do Korei, okazało się, że nic się tu nie zmieniło. Tyrańskie rządy Japonii stawały się z każdym dniem gorsze. Cały kraj sphywał krwią i łzami. Wróciłem do dzielnicy Heuksok-Dong w Seulu i tam uczęszczałem do kościoła Myungsudae. Notowałem szczegółowo w dziennikach wszystko, co każdego dnia rozumiałem o świecie. Bywały dni, kiedy było tego bardzo dużo i wówczas zapełniałem cały dziennik. Otrzymywałem odpowiedzi na wiele pytań, z którymi zmagalem się nawet latami. Było to tak, jakbym dostawał odpowiedzi na wszystkie moje modlitwy i poszukiwania prawdy. To wszystko działo się w krótkim czasie, jakby przez moje ciało przebiegała ognista kula.

W tym czasie coś sobie uświadomiłem: „Stosunek pomiędzy Bogiem a ludzkością jest taki, jak pomiędzy ojcem a dziećmi, i Bóg się ogromnie martwi, widząc ich cierpienie”. W tym momencie

wszystkie tajemnice wszechświata stały się dla mnie całkiem jasne. Było to tak, jakby ktoś nagle włączył projektor filmowy. Wszystko, cokolwiek się wydarzyło od czasu, kiedy ludzkość złamała Boskie przykazanie, rozegrało mi się jasno przed oczami. Z moich oczu popłynęły strumienie łez. Upadłem na kolana i pochyliłem głowę do ziemi. Przez bardzo długi czas nie mogłem się podnieść. Zupełnie jak wtedy, kiedy ojciec nosił mnie na plecach do domu, gdy byłem dzieckiem, złożyłem teraz swoje ciało na kolanach Boga i pozwoliłem płynąć łzom. W dziewięć lat po spotkaniu z Jezusem moje oczy otworzyły się nareszcie na prawdziwą miłość Boga.

Bóg stworzył Adama i Ewę i posłał ich na ten świat, aby byli płodni, rozmnażali się i stworzyli świat pokoju, w którym będą żyli. Oni jednak nie postąpili zgodnie z planami Boga. Popełnili cudzołóstwo i spłodzili dwóch synów, Kaina i Abla. Dzieci zrodzone z Upadku nie ufały sobie nawzajem, a w rezultacie tego jeden brat zamordował drugiego. Pokój tego świata został zrujnowany, zapanował na nim grzech i tak zaczęło się cierpienie Boga. Potem ludzkość popełniła kolejny straszny grzech, zabijając Jezusa, Mesjasza. Zatem dzisiejsze cierpienie ludzkości jest procesem pokuty, którą ludzkość musi przejść, gdyż Bóg nadal cierpi.

Jezus objawił mi się, gdy byłem szesnastoletnim chłopcem, ponieważ chciałem, żeby poznałem korzenie grzechu pierworodnego, jaki popełniła ludzkość, i abym stworzył świat pokoju, w którym już więcej nie będzie ani grzechu, ani Upadku. Otrzymałem od Boga dokładne instrukcje, jak zadośćuczynić za grzechy ludzkości i doprowadzić do powstania świata pokoju, który Bóg stworzył na samym początku. Świat pokoju — wielkie pragnienie Boga — to nie jakieś miejsce, do którego idziemy po śmierci. Bóg pragnie, żeby ten świat, na którym teraz żyjemy, był światem całkowitego pokoju i szczęścia, jakim go pierwotnie stworzył. Bóg z pewnością nie posłał Adama i Ewy na ziemię, aby cierpieli. Musiałem sprawić, żeby cały świat poznał tę niesamowitą prawdę.

Gdy odkryłem tajemnice stworzenia wszechświata, poczułem, że serce mam spokojne jak ocean w czasie ciszy morskiej. Moje serce wypełniło się Słowem Bożym. Miałem wrażenie, że zaraz wybuchnie i twarz mi jaśniała radością.

### **„Proszę, nie umieraj”**

Nadal oddawałem się modlitwie i intuicyjnie wyczułem, że nadszedł dla mnie czas małżeństwa. Ponieważ postanowiłem podążać ścieżką Boga, wszystko w moim życiu musiało się dziać w zgodzie z Bożą wolą. Kiedy zrozumiałem coś poprzez modlitwę, nie miałem wyboru i musiałem za tym podążyć. Poszedłem więc do jednej z ciotek, doświadczonej w kojarzeniu małżeństw, i poprosiłem, żeby mnie poznała z odpowiednią kandydatką. W ten sposób poznałem Seon Gil Choi, córkę znaczącej rodziny chrześcijańskiej w Jeongju.

Była dobrze wychowaną kobietą z uczciwej rodziny. Skończyła tylko podstawową szkołę, ale charakter miała tak silny, a wiarę chrześcijańską tak głęboką, że w wieku szesnastu lat została uwięziona za odmowę wypełnienia polecenia rządu japońskiego, zgodnie z którym wszyscy Koreańczycy mieli się modlić w świątyniach Shinto. Dowiedziałem się, że jestem dwudziestym czwartym mężczyzną, z którym ją swatają; wyglądała więc na bardzo wybredną w wyborze przyszłego męża.



Jednakże, kiedy wróciłem do Seulu, zupełnie zapomniałem, że poznałem tę kobietę. Planowałem po zakończeniu mojej nauki w Japonii odbyć podróż do Hailar w Chinach, miasta leżącego na granicy pomiędzy Chinami, Związkiem Radzieckim i Mongolią.

Szkoła w Tokio załatwiła mi pracę w mandżurskiej firmie elektrycznej Manchuria Electric Company i zamierzałem pracować w Hailar jakieś trzy lata, ucząc się przy tym rosyjskiego, chińskiego i mongolskiego. Tak jak kiedyś znalazłem szkołę, w której dobrze opanowałem język japoński, tak samo teraz chciałem pojechać do tego granicznego miasta i nauczyć się kilku obcych języków celem przygotowania się do pracy w przyszłości.

Stawało się jednak coraz bardziej jasne, że Japonia przegra tę wojnę. Zdecydowałem więc, że będzie dla mnie lepiej, jeżeli nie pojedę do Mandżurii. Zatrzymałem się zatem w filii Manchuria Electric Company w Andong (obecnie Dandong) i złożyłem papiery z prośbą o anulowanie mojego przydziału do pracy. Następnie pojechałem do Korei, do rodzinnego miasta.

Kiedy tam przybyłem, okazało się, że ciotka, którą swego czasu poprosiłem o skojarzenie mojego małżeństwa, jest mocno strapiona. Podobno kobieta, którą dzięki niej poznałem, odmawia wzięcia pod uwagę kogokolwiek innego niż ja, powodując dużo zamieszania w swojej rodzinie. Ciotka wzięła mnie za ramię i zaciągnęła do domu rodziny Choi.

Objasniłem Seon Gil Choi jaki rodzaj życia miałem zamiar wieść. Powiedziałem: „Nawet jeżeli się teraz pobierzemy, powinnaś być przygotowana na to, że co najmniej przez siedem lat będziesz musiała żyć beze mnie”.

„Dlaczego powinnam być na to przygotowana?” — odpowiedziała.

Odparłem: „Mam teraz przed sobą zadanie, które jest o wiele ważniejsze od życia rodzinnego. W gruncie rzeczy przyczyna, dla której chcę się ożenić, ma związek z moimi możliwościami wypełnienia Bożej opatrności. Nasze małżeństwo musi się rozwinąć tak, aby wykroczyć poza rodzinę, i dojść do punktu, w którym będziemy mogli kochać naród i całą ludzkość. A teraz, kiedy już znasz moje zamiary, czy naprawdę chcesz wyjść za mnie?”

Odpowiedziała zdecydowanie: „To dla mnie nie ma znaczenia. Po tym, jak cię poznałam, śniło mi się pole pełne kwiatów w świetle księżycy. Jestem pewna, że to ty jesteś moim mężem zesłanym z Nieba. Zniosę każdą trudność”.

Nadal się niepokoiłem i szereg razy starałem się na nią wpłynąć. Za każdym razem uspokajała mnie słowami: „Jestem gotowa na wszystko, byle bym mogła cię poślubić. O nic się nie martw”.

Na tydzień przed planowanym terminem naszego ślubu nagle zmarł mój przyszły teść i trzeba było ceremonię odłożyć. Ostatecznie mogliśmy się pobrać dopiero 4 maja 1944 roku. Zwykle w maju jest piękna wiosenna pogoda, ale w dniu naszego ślubu lało jak z cebra. Udzielał go nam wielebny Ho Bin Lee z kościoła Jezusa Chrystusa. Później, po wyzwoleniu Korei spod okupacji Japonii, wielebny Lee wyjechał do Korei Południowej i tam otworzył ekumeniczne seminarium duchowne zwane „Seminarium Jungang”.

Zamieszkaliśmy, już jako małżeństwo, w wynajętym przeze mnie pokoju w pensjonacie w dzielnicy Heuksok-Dong. Naprawdę kochałem swoją żonę. Opiekowałem się nią tak czule, że właścicielka

pensjonatu mówiła: „O rety! Chyba ją naprawdę musisz bardzo kochać, obchodzisz się z nią jak z jajkiem!”

Pracowałem w Kyeongsung, w filii Kashima Gumi Construction Company w Yongsan, żeby utrzymać rodzinę, a równocześnie dalej prowadziłem swoją działalność religijną. Aż pewnego październikowego dnia nagle do naszego mieszkania wtargnęła japońska policja.

„Czy znasz takiego-a-takiego z Uniwersytetu Waseda?” — spytali, po czym wcale nie czekając na moją odpowiedź, wyciągnęli mnie z domu i zabrali na posterunek policji w Kyeonggi. Zostałem zatrzymany, gdyż jeden z moich przyjaciół został aresztowany za to, że był komunistą, i podczas przesłuchania wymienił moje nazwisko.

Na posterunku natychmiast zaczęto mnie torturować — „Jesteś członkiem partii komunistycznej, tak? Pracowałeś razem z tamtym draniem, kiedy uczyłeś się w Japonii, tak? Nie próbuj zaprzeczać! Wystarczy, że zadzwonimy do Tokio, do Komendy Głównej Policji, a wszystko nam powiedzą. Musisz nam podać listę członków partii albo zdechniesz jak pies!”

Bili mnie stołem, aż połamali na mnie jego wszystkie cztery nogi, ja jednak odmówiłem podania nazwisk ludzi, którzy ze mną pracowali w Japonii.

Wtedy policjanci japońscy poszli do naszego mieszkania, przewrócili w nim wszystko do góry nogami i znaleźli moje dzienniki. Przynieśli mi je i przeglądając stronica po stronicy, żądali wyjaśnień odnośnie osób, których nazwiska były tam wymienione. Odmawiałem, mimo że wiedziałem, że za milczenie mogą mnie zabić. Policjanci deptali po mnie bez litości swoimi podkutymi wojskowymi buciorami, aż tak osłabłem, że byłem półżywy. Wtedy podwiesili mnie pod sufitem i kołtysali w przód i w tył. Wisząc jak poćiec mięsa w sklepie rzeźnika, huśtałem się tak w obie strony popychany kijem. Wkrótce krew napłynęła mi do ust i zaczęła kapać na cementową podłogę. Za każdym razem, kiedy traciłem przytomność, wylewali na mnie kubek zimnej wody. Skoro tylko odzyskiwałem zmysły, tortury się zaczynały na nowo.

Zatykali mi nos i wciskali do ust dziobek czajnika, zmuszając do tykania wody. Kiedy pełen wody brzuch nadymał się, kładli mnie na plecach na podłodze jak żabę i zaczęli deptać wojskowymi butami. Woda wydostawała się przetykiem i wymiotowałem tak, że w oczach robiło mi się czarno. Po kilku dniach tortur czułem, jakbym miał przetyk w ogniu. Bol był tak wielki, że nie mogłem przełknąć choćby łyżki zupy. Straciłem całą energię; byłem w stanie tylko leżeć na brzuchu na ziemi, zupełnie nie mogąc się poruszyć.

Zbliżał się koniec wojny i japońska policja zachowywała się po prostu desperacko. Torturowali mnie w sposób, którego nie da się opisać. A jednak wytrzymałem i nigdy nie podałem im nazwiska żadnego z moich przyjaciół. Nawet wówczas, kiedy co chwila traciłem przytomność i na powrót ją odzyskiwałem, byłem pewny, że nie dostarczę im tego, na czym tak im zależy. W końcu japońska policja, zmęczona torturowaniem mnie, posłała po moją matkę. Kiedy matka się zjawiła, nogi miałem tak obrzmiałe, że nie byłem w stanie stać o własnych siłach. Dwaj policjanci musieli mnie podtrzymywać pod ramiona i pomoc przejść do sali widzeń.

Matka, jeszcze zanim mnie zobaczyła, miała łzy w oczach. „Wytrzymaj jeszcze tylko trochę” — powiedziała. — „Zdobędę dla ciebie adwokata. Proszę cię, wytrzymaj, nie umieraj, zanim tego nie załatwię”.

Widziała moją twarz pokrytą zaskorupiałą krwią i błagała mnie: „To nieważne jak bardzo starasz się robić dobrze” — powiedziała. — „Ważniejsze, abys pozostał przy życiu. Niezależnie od tego, co się stanie, nie umieraj”.

Żał mi jej było. Chciałbym zawołać „mamo”, objąć ją i głośno płakać z nią razem. Nie mogłem jednak tego zrobić, bo wiedziałem doskonale, dlaczego japońska policja ją tu sprowadziła. Matka nadal mnie błagała, żebym nie umierał, ale wszystko, co byłem w stanie zrobić, to mrugać zapuchniętymi i zalanymi krwią oczami.

W czasie, kiedy trzymali mnie na posterunku w Kyeonggi, pani Gi Bong Lee, właścicielka pensjonatu, dostarczała mi żywność i ubranie. Płakała podczas każdego widzenia. Pocieszałem ją, mówiąc: „Proszę jeszcze trochę wytrzymać. Ta epoka już się zbliża ku końcowi. Japonia wkrótce przegra wojnę. Nie trzeba płakać.” To bynajmniej nie były puste słowa. Taką wiarę dał mi Bóg.

Kiedy w lutym następnego roku policja mnie wypuściła, zebrałem swoje wszystkie dzienniki przechowywane w pensjonacie i zaniósłem nad brzeg rzeki Han. Tam je spaliłem, aby się nie stały powodem kłopotów dla moich przyjaciół. Gdybym tego nie zrobił, wiedziałem, że policja mogłaby je wykorzystać przeciwko nim. Nie przyszło mi łatwo dojście do zdrowia po torturach, które przeszedłem. Dłuższy czas w moim kale pojawiała się krew. Pani Lee, właścicielka pensjonatu, i jej siostra z wielkim oddaniem pomagały mi powrócić do zdrowia.

W końcu 15 sierpnia 1945 roku Korea została wyzwolona spod okupacji Japonii. To był dzień wyczekiwany przez każdego Koreańczyka. Dzień ogromnych emocji. Wszędzie słychać było okrzyki „*Mansei!*”, a na całym Półwyspie było pełno ludzi powiewających Taegukgi (pierwszą narodową flagą całej Korei).

Ja jednak nie mogłem przyłączyć się do tych wyrazów radości. W sercu miałem śmiertelną powagę, bo przewidywałem straszną klęskę, która wkrótce miała spotkać Półwysep Koreański. Poszedłem sam do małego przedsionka i zagłębiłem się w modlitwie. Wkrótce po tym moje obawy się potwierdziły. Nasza ojczyzna, aczkolwiek wolna od okupacji japońskiej, została rozcięta na dwie części wzdłuż 38. równoleżnika. Na Północy władzę objął reżim komunistyczny — system, który zaprzecza istnieniu Boga.

### **Rozkaz, który musi być wykonany**

Zaraz po wyzwoleniu w naszym kraju panował nieopisany chaos. Artykuły pierwszej potrzeby były trudne do zdobycia, nawet dla ludzi posiadających pieniądze. W naszym domu zabrakło ryżu. Wybrałem się więc do Paekchon w prowincji Hwanghae, miejscowości położonej na północ od Seulu tuż przy południowej stronie 38. równoleżnika, aby odebrać wcześniej zakupioną niewielką ilość ryżu. Jednakże w trakcie podróży otrzymałem objawienie. Jakiś głos powiedział mi: „Przejdź przez 38. równoleżnik! Odnajdź ludzi Boga, którzy są na Północy”. Natychmiast przekroczyłem 38. równoleżnik i ruszyłem do Pyongyang (Phenian).

Minął dopiero miesiąc od narodzin naszego pierwszego syna. Martwiłem się o żonę. Wiedziałem, że czekając na mnie, będzie się niepokoić, ale nie miałem już czasu, żeby do niej wrócić przed wędrowką na Północ. Polecenia Boga są bardzo poważne i trzeba je spełniać bez zastrzeżeń i bez wahania. Nie zabrałem ze sobą nic oprócz Biblii, którą przeczytałem już dziesiątki razy i

wypełniłem podkreśleniami oraz uwagami. Pisałem je drobnymi literkami wielkości ziarenek sezamu.

W tym czasie uchodźcy tłumnie uciekali na południe, żeby uniknąć reżimu komunistycznego. Zwłaszcza odrzucenie religii przez partię komunistyczną sprawiło, iż wielu chrześcijan kierowało się na południe w poszukiwaniu wolności wiary. Komuniści uważali religię za opium dla ludzi i obstawali przy tym, żeby nikt nie wyznawał żadnej religii. A ja właśnie tam szedłem, prowadzony wezwaniem Nieba. Żaden duchowny nie wybrałby się w takie miejsce, ja jednak się tam udałem.

W miarę jak liczba kierujących się na południe wzrastała, Północ zaczynała coraz ściślej zabezpieczać granicę. Przejście przez 38. równoleżnik nie przyszło mi z łatwością. Gdy musiałem iść piechotą 48 kilometrów do granicy i dalej aż do Pyongyangu, ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, żeby uskarżać się na tak trudną drogę.

Do Pyongyangu dotarłem 6 czerwca. W tym mieście chrześcijaństwo tak głęboko zapuściło korzenie, że nazywano je „Jerozolimą Wschodu”. Podczas okupacji Japończycy próbowali w rozmaity sposób prześladować chrześcijan. Zmuszali obywateli do modlitw w świątyniach Shinto, a nawet do bicia pokłonów w stronę pałacu cesarskiego w Tokio, gdzie przebywał cesarz.

Po przybyciu do Pyongyangu rozpocząłem pracę ewangelizacyjną w domu człowieka imieniem Choi Seob Rah, mieszkającego w pobliżu Zachodniej Bramy w dzielnicy Kyeongchang Ri.

Zacząłem od zajmowania się dziećmi z tej dzielnicy. Miałem im opowiadać historyjki ilustrujące dzieje biblijne. To były dzieci, ale rozmawiałem z nimi, zwracając się tak uprzejmie, jak zwykle rozmawia się z dorosłymi, i starałem się jak najlepiej nimi opiekować. Równocześnie traciłem nadzieję, że ktokolwiek przyjdzie wysłuchać mojego nowego przesłania, które miałem przekazać. Bywały dni, kiedy od rana do nocy wpatrywałem się w bramę w nadziei, że ktoś przyjdzie i wysłucha mnie.

Wkrótce szczerze wierzący ludzie zaczęli przychodzić, by się ze mną spotkać. Rozmawiałem z nimi całymi nocami, uczyłem nowego przesłania. Nie było ważne, kto przychodził. To mogło być zarówno trzyletnie dziecko jak przygarbiona, niewidoma staruszka. Wszystkich traktowałem z taką samą miłością i szacunkiem. Pochylałem się przed nimi w ukłonie i służyłem im, jakby przyszli wprost z nieba. Nawet jeśli moimi gośćmi byli starzy mężczyźni i kobiety, spędzałem z nimi czas aż do późnej nocy.

Nigdy nie mówiłem sobie: „Och, nie cierpię, kiedy przychodzą do mnie tacy starzy ludzie”. Każdy człowiek jest bezcenny. Czy to jest mężczyzna, czy kobieta, stary czy młody — wszyscy ludzie mają taką samą wielką wartość.

Ludzie słuchali, jak ten dwudziestosześcioletni mężczyzna opowiada im o *Liście do Rzymian* czy o *Apokalipsie Świętego Jana*. To, co słyszeli, różniło się od tego, co im dotąd mówiono, zatem stopniowo zaczęli się wokół mnie gromadzić ludzie spragnieni prawdy.

Pewien młodzieniec przychodził codziennie i słuchał tego, co mówiłem, potem jednak odchodził bez słowa. To był Won Pil Kim. Został pierwszym członkiem mojej duchowej rodziny. Ukończył szkołę w Pyongyangu i pracował jako nauczyciel. Na zmianę przygotowywaliśmy ryż na posiłki i w ten sposób zaczęła się nasza relacja mistrza duchowego i ucznia.

Kiedy zaczynałem nauczać w oparciu o Biblię, nie byłem w stanie przerwać, aż w końcu członkowie kongregacji przeprasali i tłumaczyli, że jeszcze muszą udać się w inne miejsce. Głosiłem kazania z taką pasją, że cały spływałem potem. Czasem przerywałem i wychodziłem do oddzielnego pomieszczenia, w którym byłem sam; tam zdejmowałem koszulę i wyzymałem ją. Tak bywało nie tylko latem, ale także w chłodne zimowe dni. Tyle energii kosztowało mnie to nauczanie.

Na nabożeństwa każdy wkładał na siebie czyste, białe ubranie. Śpiewaliśmy te same hymny dziesiątki razy, powtarzając je, aż duch nabożeństwa stawał się bardzo żarliwy. Zdarzało się, że zgromadzeni członkowie wzruszali się tak bardzo, że wszyscy zaczynaliśmy płakać. Nazwano nas nawet „płaczącym kościołem”. Kiedy nabożeństwa się kończyły, członkowie kongregacji dawali świadectwo o łaskach, jakie otrzymali podczas nabożeństwa. Czuliśmy się wówczas upojeni łaską. Jakby nasze ciała płynęły w gorę, wprost do nieba.

Wielu ludzi w naszym kościele miało doświadczenia duchowe. Niektórzy wpadali w trans, inni prorokowali, jedni zaczynali mówić różnymi językami, a jeszcze inni tłumaczyli to na koreański. Czasami do naszej kongregacji przychodził jakiś człowiek nienależący do naszego kościoła. A wtedy członek kościoła podchodził do niego z zamkniętymi oczami i klepał po ramieniu. Wówczas tamten nagle zaczynał się modlić ze łzami skruchy. W takich wypadkach czuliśmy, jak przez nasze zgromadzenie przelatywał gorący ogień Ducha Świętego.

Kiedy wkraczał Duch Święty, ludzie byli leczeni z chronicznych chorób tak skutecznie, jakby one nigdy nie istniały. Zaczęły krążyć pogłoski, że ktoś zjadł trochę ryżu pozostałego w mojej miseczce i wyleczył się z choroby żołądka. Ludzie mówili: „Jedzenie w tym kościele może uleczyć” i wielu zaczęło czekać, aż skończę jeść w nadziei, że uda się im zjeść trochę pozostawionego przeze mnie ryżu.

Kiedy te zjawiska duchowe stały się szerzej znane, nasza kongregacja urosła i wkrótce przychodziło już tylu ludzi, że nie można było domknąć drzwi. Babcia Seung Do Ji i babcia Se Hyun Ok przyszły do kościoła, bo miały sen, w którym im powiedziano: „Pewien młody nauczyciel duchowy przybył z Południa i teraz jest przy Mansudae (główny plac Pyongyangu), więc idź i poznaj go”. Nikt ich nie ewangelizował. Po prostu przyszły pod adres podany im we śnie. Kiedy już do nas dotarli, były szczęśliwe, że spotkały człowieka, o którym usłyszały we śnie. Wystarczyło, że ujrzałem ich twarze, a zrozumiałem, czemu przyszły. Kiedy odpowiedziałem na ich pytania, nie pytając najpierw, co chciałyby wiedzieć, po prostu nie mogły opanować radości i zaskoczenia.

Uczyłem Słowa Bożego poprzez opowiadanie moich własnych przeżyć. Może właśnie dlatego tylu ludzi uważało, że tutaj otrzymają jasne odpowiedzi na pytania, na które nigdy przedtem nie mogli ich dostać. Niektórzy wierni z innych wielkich kościołów w mieście po usłyszeniu mojego kazania stawali się członkami naszej kongregacji. Pewnego razu piętnastu ważnych członków kościoła Jangsujae, najbardziej prestiżowego w Pyongyangu, przyszło do nas całą grupą, co spowodowało, że członkowie ich rady starszych wystąpili z protestem przeciw nam.

Teść pani In Ju Kim był w Pyongyangu znanym członkiem starszyny kościelnej. Cała rodzina była związana bezpośrednio z kościołem, do którego uczęszczał. Tymczasem ona, zamiast tam chodzić, w sekrecie przychodziła do nas. Żeby wyjść z domu niewidziana przez teściów, musiała iść na tyły domu, wdrapać się na jeden z wielkich glinianych dzbanów, a następnie przejść przez płot. Robiła to, nawet kiedy była w ciąży, a ten płot był dwa lub trzy razy wyższy od człowieka. To wymagało z

jej strony nie lada odwagi. W końcu teść ją surowo ukarał. Wiedziałem, kiedy to się stało. W dniu, w którym czułem silny ból w sercu, posłałem kilku ludzi do domu pani Kim. Kiedy posłańcy stanęli pod jej domem, usłyszeli, że teść bije panią Kim. Bił ją tak, że zaczęła płakać krwawymi łzami. Później mówiła jednak, że świadomość tego, że członkowie naszego kościoła stoją przed bramą i modlą się za nią, sprawiło, że nie czuła bólu.

„Nauczycielu, skąd wiedziałeś, że on mnie bił?” — pytała mnie potem. — „Kiedy członkowie naszego kościoła stali przy furtce, mój bol ustąpił, a teść uznał, że bicie mnie kosztuje go za dużo energii. Dlaczego tak było?”

Teściowie ją bili, a nawet przywiązywali do słupa, ale nie mogli jej powstrzymać od przychodzenia do naszego kościoła. W końcu członkowie jej rodziny przyszli do nas i zaczęli mnie bić. Szarpali mnie za ubranie i bili po twarzy, aż spuchła, ale ani razu im nie oddałem. Wiedziałem, że jeśli to zrobię, uczynię sytuację pani Kim jeszcze trudniejszą.

Kiedy na nasze nabożeństwa zaczęło się schodzić coraz więcej ludzi z dużych kościołów z całego Pyongyangu, duchowni z tych szacownych świątyń zrobili się zazdrośni i złożyli na nas skargę na policji. Władzom komunistycznym religia była solą w oku i tylko szukali pretekstu, żeby ją prześladować. Wykorzystali okazję, jaką była skarga duchownych, i zaarrestowali mnie. 11 sierpnia 1946 roku zarzucono mi przybycie z Południa w celach szpiegowskich i uwięziono w Dae-Dong — Komisariacie Służby Bezpieczeństwa. Fałszywie mnie oskarżono, że przysłał mnie na Północ południowo-koreański prezydent Syngman Rhee, który stara się przejąć władzę nad Północą.

Przyprowadzono nawet sowieckiego śledczego, ale nikt nie mógł mi udowodnić żadnej winy. W końcu po trzech miesiącach uznali mnie za niewinnego i wypuścili, tym razem jednak moje ciało było w fatalnym stanie. Podczas tortur straciłem tyle krwi, że moje życie znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie. Zajęli się mną członkowie mojego kościoła. Ryzykowali dla mnie życie, nie oczekując niczego w zamian.

Kiedy wyzdrowiałem, podjąłem na nowo pracę ewangelizacyjną. W ciągu roku nasza kongregacja była już całkiem liczna. Inne, dłużej istniejące kościoły były tą sytuacją zaniepokojone. Coraz więcej ich członków przychodziło na nasze nabożeństwa.

W końcu około osiemdziesięciu duchownych zaczęło pisać listy na policję. 22 lutego 1948 roku komunistyczne władze znowu mnie aresztowały. Ponownie mi zarzucono, że jestem szpiegiem Syngmana Rhee i że zakłócam porządek społeczny. Zabrali mnie w kajdankach. Po trzech dniach ogolili mi głowę i osadzili w celi. Do dziś pamiętam widok moich włosów spadających na podłogę, które mi bardzo urosły, gdy kierowałem kościołem. Pamiętam też twarz mężczyzny, pana Lee, który je obcinał.

W więzieniu strażnicy bili mnie bez końca i żądali, bym wyznał swoje zbrodnie. A jednak wytrzymałem. Nawet kiedy wymiotowałem krwią i byłem o krok od śmierci, nigdy nie pozwoliłem sobie na utratę świadomości. Czasami bol był tak silny, że aż się skręcałem. Bezwiednie modliłem się: „Boże, ocal mnie!” Po chwili jednak odzyskiwałem panowanie nad sobą i modliłem się świadomie: „Boże, nie martw się o mnie. Sun Myung Moon jeszcze nie umarł. Nie pozwolę, żebym umarł w tak żałosny sposób jak ten”.

Miałem rację. Czas mojej śmierci jeszcze nie nadszedł. Przede mną była cała góra zadań, które musiałem wykonać. Miałem misję. Nie byłem tak słaby, by się poddać czemuś tak trywialnemu jak tortury.

Za każdym razem, kiedy po torturach padałem umęczony, umacniałem się, mówiąc sobie: „Jestem bity, ale to dla dobra ludu koreańskiego. Ronię łzy, dzieląc bol tego ludu”. Kiedy tortury były tak straszne, że już, już miałem stracić przytomność, zawsze i nieodmiennie słyszałem głos Boga. W chwilach, kiedy życie wydawało się kończyć, pojawiał mi się Bóg. Nadal mam na ciele blizny po zadanych wówczas ranach. Mięso wyrwane z ciała i utracona krew zostały zastąpione nowym ciałem i krwią, ale bol, jaki wtedy czułem, pozostał w tych bliznach. Często patrzyłem na nie i mówiłem sobie: „Masz na sobie te blizny, więc musisz zwyciężyć”.

Sąd nade mną miał się odbyć 3 kwietnia, w czterdzieści dni po uwięzieniu. Odłożono go jednak o cztery dni i odbył się 7 kwietnia. Na salę sądową przybyło wielu znanych duchownych z kościołów w Korei Północnej. Oskarżyli mnie o wszelkiego rodzaju zbrodnie. Partia Komunistyczna też mną wzgardziła, mówiąc, że religia to opium dla ludu. Członkowie mojej kongregacji, wspólnie stojąc po jednej stronie sali, żałośnie płakali. Szlochali tak, jakby umarło im dziecko czy mąż.

Ja jednak nie uroniłem ani jednej łzy. Miałem swoich wyznawców, płaczących z mojego powodu z takim smutkiem i pogrążonych w takim żalu, że nie czułem się samotny w swojej podróży ścieżką Niebios. Wiedziałem, że pokonam wszelkie przeciwności, więc czułem, że nie powinienem płakać. Kiedy po wydaniu wyroku opuszczałem salę sądową, podniosłem skute kajdanami ręce w górę i potrząsnąłem nimi, dając znak członkom mojej kongregacji. Kajdany zabrzęczały jak dzwony. Tego dnia zabrano mnie do więzienia w Pyongyangu.

Nie obawiałem się życia w więzieniu. To nie był mój pierwszy pobyt w więziennej celi. Poza tym wśród więźniów w każdej celi istniała ścisła hierarchia, a ja wiedziałem jak zawrzeć przyjaźń z najstarszym więźniem będącym na szczycie hierarchii. Wszystko, co musiałem zrobić, to zamienić z takim więziennym przywódcą kilka słów, i od razu stawał się moim przyjacielem. Kiedy mamy serce pełne miłości, potrafimy trafić do serc innych ludzi.

Kiedy znalazłem się w celi i usiadłem w najdalszym kącie, ale już po upływie paru dni przywódca więźniów przesunął mnie na wyższą pozycję. Chciałem siedzieć w zakątku tuż przy kubie służącym za toaletę, lecz on nalegał, żebym przeszedł na lepsze miejsce w celi. Bez względu na moje odmowy; nalegał i już. Gdy zawarłem przyjaźń z szefem celi, przyjrzałem się uważnie każdemu z moich współwięźniów. Twarz ludzka mówi wszystko o człowieku: „Och, twoja twarz wygląda w ten sposób, więc musisz mieć taki a taki charakter”. „Twoja twarz jest taka, więc trzeba z tobą postępować tak, a nie inaczej”.

Więźniowie byli zaskoczeni tym, jak dużo potrafiłem powiedzieć o każdym z nich tylko na podstawie czytania z rysów twarzy. Nie bardzo im się podobało, że ktoś, kto ich widzi pierwszy raz w życiu, może tak dużo o nich wiedzieć, ale musieli przyznać, że moja ocena była trafna. Zawsze potrafiłem otworzyć serce dla każdego, a więc w więzieniu też zyskałem przyjaciół. Zaprzyjaźniłem się nawet z pewnym mordercą. Co prawda uwięziono mnie niesłusznie, ale pobyt ten był dla mnie ważną szkołą życia. Każdy okres próby na tym świecie ma duże znaczenie.

W więzieniu przyjaciółkami mogą być nawet wszy. Było tam okropnie zimno. Wszy wędrowały rządkiem wzdłuż szwów naszych więziennych drelichów. Kiedy je zsuwaliśmy na kupkę, czepiały się jedna drugiej i w końcu tworzyły małą kulkę. Toczyliśmy ją wtedy, podobnie jak żuki gnojowe toczą kulki końskiego nawozu, a wszy robiły wszystko, żeby się trzymać razem w tej kuli. Wszy mają zwyczaj wkopywania się przodem, więc wszystkie ich głowy były razem, a na zewnątrz sterczały odwłoki. Bardzo nas to bawiło.

Nikt nie lubi wesz czy pcheł. Ale w więzieniu nawet wszy i pchły stają się ważnymi partnerami do rozmów. W chwili, kiedy spostrzegasz pluskwę czy pchłę, w twoim mózgu może pojawić się ważna myśl i istotne jest, aby nie przeszła ona niezauważona.

Nigdy nie wiadomo, kiedy i w jaki sposób przemówi do nas Bóg. A zatem musimy być uważni i pilnie się wszystkiemu przypatrywać, nawet pluskwom i pchłom.

### **Ziarno ryżu jest większe niż cała Ziemia**

Po trzech miesiącach od osadzenia w więzieniu w Pyongyangu, 20 maja przeniesiono mnie do więzienia w Heungnam. Byłem oburzony i czułem wstyd wobec Niebios. Skuto mnie razem ze złodziejem, żebym nie mógł uciec. Wieźli nas aż siedemnaście godzin. Kiedy wyjrzałem przez okienko, wezbrało we mnie ogromne uczucie żalu. Wydało mi się niewiarygodne, że muszę przebywać tę krętą drogę wśród rzek i dolin jako więzień.

Więzienie Heungnam było właściwie obozem koncentracyjnym, którego więźniowie pracowali w Fabryce Sztucznych Nawozów Azotowych w Heungnam. Przez następne dwa lata i pięć miesięcy wykonywałem tam ciężkie prace przymusowe. Były one rodzajem kary, jakiej Korea nauczyła się od Związku Radzieckiego. Rząd sowiecki nie mógł po prostu zabijać ludzi z kręgów burżuazji czy innych, którzy nie byli komunistami, ze względu na opinię w oczach całego świata, na którą jednak musiał zwracać uwagę. W ten sposób zrodził się pomysł kary „robot przymusowych”. Ludzie wykorzystywani w ten sposób byli zmuszani do katorżniczej pracy aż do śmierci z wycieńczenia.

Komuniści z Korei Północnej skopiowali system sowiecki i skazywali wszystkich więźniów na trzy lata prac przymusowych. W rzeczywistości więźniowie zwykle umierali przed upływem tego okresu.

Nasz dzień pracy zaczynał się o wpół do piątej rano. Ustawiano nas w szeregi na dworze i rewidowano w poszukiwaniu kontrabandy. Musieliśmy się rozbierać do naga, a strażnicy szczegółowo badali każdą część odzieży. Trzepali ją tak długo, aż nie pozostawała nawet drobinka kurzu. Cała ta procedura zajmowała co najmniej dwie godziny. Heungnam położony jest nad morzem i zimą wiatr niczym nóż boleśnie chłostał nasze nagie ciała.

Kiedy inspekcja była skończona, otrzymywaliśmy nędzne, okropne śniadanie. Następnie szliśmy do oddalonej o cztery kilometry fabryki nawozów. Maszerowaliśmy czwórkami i musieliśmy trzymać za rękę kolegę obok; nie wolno też było podnosić głowy. Otaczali nas strażnicy uzbrojeni w karabiny i pistolety. Każdy, kto sprawił, że jego szereg zostawał w tyle, albo kto nie trzymał za rękę sąsiada, był strasznie bity „za próbę ucieczki”.

Zimą leżał tam śnieg na wysokość większą od wzrostu człowieka. W mroźne zimowe poranki zmuszano nas do maszerowania po głębokim śniegu; wtedy zaczynało mi wirować w głowie.



Zamarznięte drogi były strasznie śliskie, a mroźny wiatr dął tak okrutnie, że włosy nam stawały na głowach. Nie mieliśmy energii, nawet po śniadaniu, i nogi się pod nami ugiwały. Mimo to musieliśmy, jak zawsze, iść do pracy, nawet jeżeli z trudem powłóczyliśmy nogami. Po przejściu tej drogi wszyscy byliśmy bliscy utraty przytomności; ja cały czas powtarzałem sobie w myślach, że należę do Niebios.

W fabryce były sterty substancji, którą nazywaliśmy „amoniakiem”. W rzeczywistości był to prawdopodobnie siarczan amonu, powszechnie używany jako sztuczny nawóz. Był transportowany przenośnikiem taśmowym i kiedy zsypywał się z taśmy w dół, formując gorę, wyglądał jak biały wodospad. Gdy zsypywał się z taśmy, był jeszcze gorący i unosiły się z niego opary, nawet w zimę. Szybko stygł i robił się twardy jak lód.

Nasza praca polegała na wybieraniu nawozu łopatami z tej góry i wsypywaniu go do słomianych worków. Ponieważ sterta miała ponad dwadzieścia metrów wysokości, nazwaliśmy ją „górami nawozu”. Ośmiuset do dziewięciuset więźniów rozkopywało tę gorę na dużej przestrzeni, co wyglądało, jakbyśmy próbowali ją przeciąć w połowie.

Pracowaliśmy w grupach po dziesięciu, a każda grupa miała obowiązek naładować codziennie tysiąc trzysta worków. Każdy z nas musiał więc napełnić sto trzydzieści. Jeżeli grupa nie wykonała normy, racje żywności zmniejszano do połowy. Wszyscy pracowali, jakby ich życie zależało od wykonania planu.

Żeby pomóc sobie w jak najbardziej skutecznym przenoszeniu worków z nawozem, zrobiliśmy szpiculce ze stalowego drutu i używaliśmy ich do zawiązywania napełnionych worków. Kładliśmy taki drut na szynie ciągnącej się po podłodze fabryki. Drut spłaszczal się pod ciężarem wagoników używanych do przewożenia surowca i mógł być używany jako sztydło.

Do robienia otworów w workach używaliśmy odłamków szkła, tłukąc szyby w oknach fabryki. Strażnicy chyba się litowali nad nami, pracującymi w takich trudnych warunkach, bo nigdy nam w tym wybijaniu szyb nie przeszkadzali. Kiedyś wyłamałem sobie ząb, usiłując przegryźć drut. Do dzisiaj widać, że mam ułamany jeden z przednich zębów. To niezapomniana pamiątka z czasów więzienia Heungnam.

Wszyscy bardzo wychudli z powodu ciężkiej pracy. Ja jeden byłem wyjątkiem. Utrzymałem wagę siedemdziesięciu dwóch kilogramów i byłem przedmiotem zazdrości innych więźniów. Zawsze wyróżniałem się siłą fizyczną. Co prawda był taki okres, kiedy bardzo chorowałem z symptomami podobnymi do gruźlicy. Objawy utrzymywały się prawie przez miesiąc. Nie opuściłem jednak ani jednego dnia pracy w fabryce. Wiedziałem, że gdyby mnie nie było, koledzy musieliby wykonać przypadającą na mnie część pracy.

Z powodu mojej siły nazywano mnie „człowiekiem ze stali”. Potrafiłem wytrzymać nawet najcięższe zadania. Więzienie i przymusowa praca nie stanowiły dla mnie wielkiego problemu. Bez względu na to, jak strasznie jest się bitym lub jak przerażające jest środowisko wokół nas, człowiek jest w stanie znieść wszystko, jeżeli tylko nosi w sercu jasno określony cel.

Więźniowie wdychali opary kwasu siarkowego używanego do produkcji siarczanu amonu. Kiedy pracowałem w hucie stali w Kawasaki w Japonii, byłem świadkiem kilku wypadków, w których czyszczący kadzie do przechowywania kwasu siarkowego umierali na skutek zatrucia tym kwasem.

Sytuacja w Heungnam była o wiele gorsza. Wystawienie na działanie kwasu było tak szkodliwe, że wypadali nam włosy, a skóra robiła się podrażniona i sączył się z niej płyn. Większość pracujących w fabryce zaczynała wymiotować krwią i umierało po mniej więcej sześciu miesiącach. Dla ochrony oklejaliśmy palce gumą, ale kwas ją szybko przeżerał. Poza tym opary kwasu niszczyły nam ubrania, które przestawały nas chronić, a skóra pękała i krwawiła. Czasami przez te pęknięcia było nawet widać kości. Musieliśmy jednak pracować dalej, bez żadnego dnia odpoczynku, nawet gdy rany nam krwawiły i sączyła się z nich ropa.

Nasze racje żywnościowe składały się z porcji ryżu, która nie napełniłaby nawet dwóch małych miseczek. Do tego nie było nic poza zupą z liści rzodkwi ugotowanych w słonej wodzie. Zupa była tak słona, że piekła w gardle, a ryż tak twardy, że nie byliśmy w stanie go zjeść nie popiwszy go zupą. Nikt z nas nie zostawiał nawet kropelki. Kiedy więźniowie dostawali swoją miskę ryżu, wkładali od razu cały ryż do ust. Żując, wszyscy rozglądali się dookoła, wyciągali szyje, żeby zobaczyć, jak jedzą inni. Czasami ktoś włożył łyżkę do zupy sąsiada i zaczynała się bójka.

Pewien duchowny, który razem ze mną był uwięziony w Heungnam, powiedział mi kiedyś: „Pozwól mi wziąć tylko jedno ziarenko, a ja dam ci dwie krowy, gdy tylko stąd wyjdziemy”. Ludzie byli tak zdesperowani, że kiedy jakiś więzień umarł podczas posiłku, inni wyciągali mu z ust resztki ryżu i zjadali.

Co znaczy cierpieć głód wie tylko ten, kto kiedyś to przeżył. Gdy człowiek jest głodny, każde najmniejsze ziarenko ryżu nabiera ogromnej wartości. Nawet teraz wystarczy, że pomyślę o Heungnam, a czuję napięcie. Trudno uwierzyć, że jedno ziarno ryżu może tak pobudzić ciało, ale kiedy jesteś głodny, pragnienie jedzenia jest takie silne, że aż chce się płakać. Człowiekowi z pełnym żołądkiem świat wydaje się wielki, ale dla głodnego ziarenko ryżu jest większe niż cała ziemia. Ma dla niego niesłychaną wartość.

Od pierwszego dnia mojego pobytu w więzieniu miałem zwyczaj zjadać tylko połowę swojej racji żywnościowej, a drugą część oddawałem kolegom-współwięźniom. Ćwiczyłem się w ten sposób przez trzy tygodnie, dopiero potem zacząłem zjadać cały swój przydział. To sprawiło, że myślałem, iż zjadam rację przeznaczoną dla dwóch osób, i łatwiej mi przychodziło wytrzymać głód.

Życie w tym więzieniu było tak okropne, że trudno to sobie wyobrazić komuś, kto tego nie przeżył. Połowa więźniów umierała w przeciągu roku pobytu w Heungnam, więc niemal codziennie musieliśmy patrzeć, jak ciała zmarłych wynosi się za bramę w drewnianych trumnach. Nawet jak na tak okrutny i bezlitosny reżim, to co z nami robili, nie mieści się wprost w żadnych granicach ludzkiego traktowania. Wszystkie te worki z nawozem, pełne łez i bólu więźniów, ładowano na statki i wywożono do Związku Radzieckiego.

### **Więzienie Heungnam w śniegu**

Najcenniejszymi rzeczami w więzieniu, poza żywnością, były igła i nitka. Nasze ubrania zużywały się i darty przy ciężkiej pracy, ale zdobycie igły i nitki do ich naprawienia było ogromnie trudne. Po jakimś czasie więźniowie wyglądali jak żebracy w strzępach odzienia. Bardzo ważne było cerowanie dziur w ubraniach, choćby po to, żeby jakoś zabezpieczyć się, nawet na trochę, przed powiewami zimnego wiatru. Znaleziony na drodze kawałek materiału miał nieocenioną

wartość. Nawet jeżeli był pokryty krowim łajnem, więźniowie potrafili się o niego pobić, próbując podnieść z ziemi.

Kiedyś, gdy nosiłem worki z nawozem, odkryłem igłę sterczącą w jednym z nich. Musiała tam przypadkowo pozostać, kiedy szyto worek. Od tej chwili zostałem krawcem całego Więzienia Heungnam. Co to była za radość — znaleźć igłę! Codziennie cerowałem wszystkim więźniom ich spodnie.

Nawet podczas największych mrozów wewnątrz fabryki nawozów było tak gorąco, że spływał z nas pot. Możecie więc sobie wyobrazić, jakie gorąco wprost nie do wytrzymania panowało tam w latem. Jednak ani razu nie zdarzyło mi się podwinąć spodni i odsłonić skory. Nawet podczas najgorętszego lata osłaniałem nogi spodniami wiązаныmi w tradycyjny koreański sposób. Inni ściągali spodnie i pracowali w bieliźnie, ale ja zawsze byłem ubrany.

Kiedy kończyliśmy pracę, mieliśmy ciała pokryte potem i pyłem z nawozu; większość więźniów wtedy się rozbierała i myła w stęchłej wodzie wyływającej z fabryki. Ja jednak nigdy nie myłem się tam, gdzie inni mogli zobaczyć mnie nagiego. Wolałem zamiast tego zaoszczędzić poł miseczki wody wydawanej nam codziennie, wstać o świcie, kiedy inni jeszcze spali, i obmyć się małą szmatką maczaną w tej połowie miseczki wody. Ten czas wczesnym rankiem przeznaczałem również na skupienie i modlitwę. Swoje ciało uważałem za bardzo cenne i nie chciałem go tak zwyczajnie wystawiać na widok publiczny.

W celi mieszkało trzydziestu sześciu ludzi; ja zająłem kącik przy toalecie. Tam nikt nie mógł na mnie nadepnąć, ale też nikt nie chciał zajmować tego miejsca. Nazwałem to „toaletą”, ale w gruncie rzeczy stał tam po prostu mały gliniany garnek, nawet bez pokrywy. Płyn przelewał się z garnka latem, a zamarzał zimą. Ohydny smród, jaki się stamtąd wydzielał, nie sposób po prostu opisać. Więźniowie często chorowali na biegunkę z powodu słonej zupy i twardego ryżu, które codziennie jedliśmy.

Bywało, że siedziałem w swoim kącie obok klozetu i słyszałem, jak ktoś jęczy: „Och, mój brzuch”. Potem szedł w stronę klozetu szybkimi, krótkimi krokami. Kiedy tylko spuścił spodnie, biegunka dawała o sobie znać. Byłem blisko, więc często i mnie opryskała. Nawet w nocy, kiedy wszyscy spali, zdarzało się, że kogoś chwytały bole żołądka. Słyszac ludzi stękających z bólu, gdy ktoś na nich nadeptywał, wiedziałem, że idzie w stronę klozetu. Wtedy podnosiłem się i stawałem w kącie pod ścianą. Jeżeli mocno spałem i nie słyszałem, że ktoś podchodzi, musiałem swoje odcierpieć. Aby wytrzymać tę nieznośną sytuację, próbowałem myśleć o tych widokach i dźwiękach jako pewnej formie sztuki. Ale przez cały czas zachowałem swoje miejsce przy toalecie.

„Dlaczego chcesz tam tkwić?” — pytali inni więźniowie, a ja odpowiadałem: „Bo tam się najlepiej czuję”. To była prawda. Było to miejsce, w którym moje serce czuło się najswobodniej.

Nosiłem numer więzienny 596. Nazywano mnie „numerem pięć dziewięć sześć”. Nocami, kiedy nie mogłem spać, wpatrywałem się w sufit i powtarzałem sobie ten numer, raz za razem (pięć to po koreańsku *oh*, dziewięć — *guh*, a sześć — *ryuk*). Jeżeli powiedzieć to szybko, wychodzi *eogul*, co po koreańsku znaczy „poczucie niesprawiedliwości”. Naprawdę uwięziono mnie niesprawiedliwie.

Partia Komunistyczna zaczęła organizować *dokbohoi*, czyli zebrania, na których czytano nam na głos artykuły z gazet lub książek oraz materiały polityczne, starając się nas w ten sposób szkolić i uczyć propagandy komunistycznej. Musieliśmy też pisać dziękczynne listy do Kim Ir-Sena. Służby specjalne obserwowały każdy nasz krok. Codziennie musieliśmy pisać listy z podziękowaniami za to, czego się dzisiaj nauczyliśmy. Ja nigdy niczego takiego nie napisałem.

Mieliśmy pisać mniej więcej tak: „Nasz Ojciec Kim Ir-Sen z miłości do nas daje nam codziennie żywność, którą możemy spożywać, daje nam posiłki z mięsem i pozwala nam prowadzić tak cudowne życie. Jestem mu bardzo wdzięczny!” Nie mogłem napisać niczego w tym rodzaju. Nawet w obliczu śmierci nie mogłem pisać takich listów do ateisty z partii komunistycznej. Zamiast pisania pracowałem więc dziesięć razy ciężiej niż inni, byle przetrwać to więzienie. Jedynym sposobem, żeby uniknąć pisania takich listów, było stać się więźniem numer jeden. Dlatego zostałem najlepszym więźniem i nawet otrzymałem nagrodę z rąk urzędnika Partii Komunistycznej.

Często odwiedzała mnie w więzieniu moja matka. Z Jeongju do Heungnam nie było bezpośredniego połączenia. Musiała jechać pociągiem do Seulu, gdzie się przesiadała na linię Seul – Wonsan. Za każdym razem musiała podróżować przez dwadzieścia długich, męczących godzin.

Zanim wyruszyła, z wielkim wysiłkiem szykowała dla mnie misutkaru, czyli ryż zmielony na proszek, by jej syn, uwięziony w kwiecie wieku, miał coś do jedzenia. Żeby przygotować taki proszek, zbierała ryż od całej rodziny, nawet od dalekich krewnych mężów moich starszych siostr. Gdy przychodziła do sali widzeń i widziała mnie stojącego po drugiej stronie szyby, natychmiast zaczynała płakać. Była silną kobietą, ale widok tak cierpiącego syna sprawiał, że opadała z sił.

Matka przywiozła mi parę jedwabnych spodni, które nosiłem w dniu ślubu. Strój więzienny, jaki miałem na sobie, był już tak wytarty, że skora prześwitywała przez tkaninę. Jednak zamiast włożyć jedwabne spodnie, oddałem je innemu więźniowi. Co do misutkaru, które zrobiła, popadając w długie, rozdałem je całe już na jej oczach. Moja matka całe serce i oddanie włożyła w przygotowanie ubrania i jedzenia dla syna, i serce jej o mało nie pękło, kiedy zobaczyła, jak rozdaję wszystko, nie zostawiając sobie ani odrobiny.

„Matko” — powiedziałem. — „Przede wszystkim jestem synem Republiki Korei, a nie tylko synem rodu Moonow. A co ważniejsze, jestem synem świata, a także synem nieba i ziemi. Myślę, że ważniejszym jest dla mnie kochać to wszystko, a dopiero na drugim miejscu podążać za twoimi słowami i kochać ciebie. Nie jestem synem jakiejś małostkowej osoby. Proszę, zachowuj się tak, jak przystoi matce takiego syna”.

Moje słowa zabrzmiały dla niej zimno jak lód i bardzo mnie bolał widok jej łez; czułem rozdierający ból w moim sercu. Tęskniłem za nią tak bardzo, że czasami myśl o niej budziła mnie w środku nocy, ale tym bardziej uważałem, że nie wolno mi ulegać emocjom. Byłem człowiekiem wykonującym pracę Boga. Ważniejsze dla mnie było odzianie trochę cieplej jeszcze jednej osoby, a także napełnienie jej żołądka choć odrobiną jedzenia, niż martwienie się moimi osobistymi relacjami z matką.

Nawet w więzieniu starałem się, gdy tylko było można, rozmawiać z ludźmi. Zawsze były wokół mnie osoby pragnące słuchać tego, co miałem do powiedzenia. Nawet o głodzie i chłodzie więziennego życia znajdowałem ciepło porozumienia z ludźmi, z którymi czułem pokrewieństwo

dusz. Nawiązałem w Heugnam serdeczne relacje z dwunastoma ludźmi, którzy byli moimi rodakami i byli mi tak bliscy jak rodzina; mógłbym z nimi spędzić resztę życia. Był wśród nich słynny duchowny, przedtem prezes Stowarzyszenia Kościołów Chrześcijańskich w Korei na pięć prowincji północnych. Byli to ludzie, z którymi dzieliłem głębokie przeżycia w sytuacjach, kiedy nasze życie wisiało na włosku, i to mi uczyniło ich bliższymi niż moi krewni z krwi i kości. To, że tacy ludzie tam byli, nadało znaczenie moim więziennym przeżyciom.

Trzy razy dziennie modliłem się za tych, którzy mi pomagali, i za członków mojej kongregacji w Pyongyangu, wymieniając ich wszystkich po imieniu. Robiąc to, zawsze czułem, że powinienem odpłacić tysiącrotnie ludziom, którzy mi wciskali w rękę garstkę jedzenia przechowanego w ubraniu.

### **Siły zbrojne ONZ otwierają bramę więzienia**

Kiedy byłem uwięziony w Heungnam, wybuchła Wojna Koreańska. W trzy dni po jej rozpoczęciu armia południowo-koreańska oddała stolicę — Seul i wycofała się dalej na południe. Wówczas szesnaście krajów ze Stanami Zjednoczonymi na czele, utworzyło armię Narodów Zjednoczonych i przystąpiło do Wojny Koreańskiej. Armia amerykańska wylądowała w Incheon i parła w kierunku Wonsan, jednego z ważniejszych przemysłowych miast w Północnej Korei.

Naturalną rzeczą było, że więzienie Heungnam i fabryka stały się celem ataków bombowych armii USA. Kiedy zaczęły się bombardowania, strażnicy zostawili więźniów własnemu losowi, a sami pochowali się w schronach. Nie przejmowali się czy przeżyjemy, czy zginiemy. Pewnego dnia objawił mi się Jezus. Twarz miał zalaną łzami. To było dla mnie tak potężnym ostrzeżeniem, że krzyknąłem: „Wszyscy stańcie nie dalej, niż dwanaście metrów ode mnie!” Po chwili wybuchła ogromna bomba — dokładnie o dwanaście metrów od miejsca, w którym stałem. Ci, którzy byli przy mnie, przeżyli.

Kiedy bombardowania robiły się coraz bardziej intensywne, strażnicy zaczęli wykonywać egzekucje na więźniach. Wywoływali ich po numerach i kazali im przychodzić z racją żywności na trzy dni i z łopatą. Więźniowie sądzili, że ich przeniosą do innego więzienia, ale w rzeczywistości wyprowadzano ich w góry, tam kazano im kopać doły, w których następnie grzebano ich zwłoki. Więźniów wywoływano w kolejności według długości wyroku, najpierw tych z najdłuższymi wyrokami. Zorientowałem się, że następnego dnia przyjdzie kolej na mnie.

Nocą przed zaplanowaną moją egzekucją bomby padały tak gęsto jak deszcz w porze monsunów. Był 13 października 1950 roku i armia USA, po wylądowaniu w Incheon, ruszyła w górę półwyspu, żeby zająć Pyongyang. Teraz napierała na Heungnam. Wojsko amerykańskie zaatakowało tej nocy Heungnam z wielką siłą, przede wszystkim bombowcami B29. Bomby leciały tak gęsto, że cały Heungnam stał się morzem ognia. Wysokie mury więzienia zaczęły się walić, a strażnicy uciekli, by ratować życie. W końcu brama, trzymająca nas w zamknięciu, otworzyła się. Mniej więcej o drugiej nad ranem spokojnie i z godnością wyszedłem z więzienia Heungnam.

W sumie w Pyongyangu i Heungnam byłem uwięziony przez dwa lata i osiem miesięcy, więc nic dziwnego, że wyglądałem koszmarnie. Ubranie i bieliznę miałem w strzępach. Okryty tymi łachmanami, zamiast iść do siebie do domu, skierowałem się do Pyongyangu wraz z grupą ludzi, którzy w więzieniu zostali moimi uczniami. Niektórzy zdecydowali się pójść za mną, zamiast szukać

swoich żon i dzieci. Mogłem sobie wyobrazić, jak bardzo moja matka codziennie płakała, martwiąc się o mnie, ale dla mnie ważniejsze było znalezienie członków mojej kongregacji w Pyongyangu.

W drodze do Pyongyangu mogliśmy dokładnie zobaczyć, jak Korea Północna była przygotowana do wojny. Wszystkie większe miasta były połączone dwupasmowymi drogami, których w razie potrzeby można było użyć do celów wojskowych. Wiele mostów zbudowano przy użyciu takiej ilości cementu, że mogły po nich przejeżdżać trzydziestotonowe czołgi. Nawozy sztuczne, dla których więźniowie w Heungnam ryzykowali życie, pakując je do worków, wysyłano do Związku Radzieckiego w zamian za przestarzałą, ale nadal śmiertelniebroń, teraz rozstawioną wzdłuż 38. równoleżnika.

Kiedy tylko przybyłem do Pyongyangu, zacząłem szukać swoich współwyznawców, którzy byli ze mną, zanim poszedłem do więzienia. Musiałem się dowiedzieć, gdzie są i jaka jest ich sytuacja. Wojna ich rozproszyła, ale uważałem za swój obowiązek odszukać ich i pomóc im w znalezieniu sposobu na dalsze życie. Nie miałem pojęcia, gdzie mogliby mieszkać, więc jedynym sposobem było penetrowanie Pyongyangu od jednego końca do drugiego.

Po tygodniowych poszukiwaniach odnalazłem zaledwie trzech czy czterech ludzi. Miałem zaoszczędzone trochę mąki ryżowej jeszcze z więzienia, mieszałem ją więc z wodą i robiłem ryżowe ciasteczka, którymi się z nimi dzieliłem. W drodze do Pyongyangu oszukiwałem głód jednym lub dwoma ziemniakami przemrożonymi na kość. Mąki ryżowej nawet nie tknąłem. Wystarczyło mi, że widziałem, z jakim zapałem jedli moje ryżowe ciasteczka, a czułem się najedzony.

Zatrzymałem się w Pyongyangu przez czterdzieści dni, cały czas szukając każdego, kogo pamiętałem, młodego czy starego. Jednak ostatecznie nigdy się nie dowiedziałem, jaki los spotkał większość z nich. Ale pozostali w moim sercu na zawsze.

Pewnej nocy 2 grudnia ruszyłem na południe. Won Pil Kim i ja poszliśmy za długim szeregiem uciekinierów, ciągnącym się chyba na dwanaście kilometrów. Zabraliśmy nawet ze sobą mężczyznę, który nie bardzo mógł iść. Był jednym z tych, którzy podążali za mną w więzieniu Heungnam. Nazywał się Pak. Zwolniono go jeszcze przede mną. Kiedy znalazłem go w domu, okazało się, że cała jego rodzina uciekła już na Południe. Był w domu sam, ze złamaną nogą. Posadziłem go na rower i zabrałem ze sobą.

Ponieważ armia północno-koreańska już zajęła dobre drogi na użytek wojska, szliśmy więc na południe przez zamrażnięte pola ryżowe, tak szybko, jak się dało. Tuż za nami podążała armia chińska, a nam trudno było się szybko poruszać, mając pod opieką człowieka ze złamaną nogą. Połowa drogi była tak trudna, że go niosłem na plecach, a ktoś inny pchał pusty rower. Pak powtarzał, że nie chce być dla mnie ciężarem i kilka razy próbował odebrać sobie życie. Przekonywałem go, że musi iść dalej, nawet nakrzyczałem na niego głośno kilka razy i ostatecznie zostaliśmy razem aż do końca.

Byliśmy uchodźcami i musieliśmy coś jeść. Wchodziliśmy do domów, których mieszkańcy już wcześniej poszli na południe i szukaliśmy ryżu lub jakiegokolwiek innego jedzenia, które mogli zostawić. Gotowaliśmy wszystko, co znaleźliśmy — czy to był ryż, jęczmień, czy ziemniaki. W ten sposób ledwo ledwo, ale jednak wyżyliśmy. Nie było misek do ryżu a jako pałeczek używaliśmy

gałązek, ale każde jedzenie smakowało nadzwyczajnie. Biblia powiada „Błogosławieni ubodzy”, nieprawdaż? Byliśmy w stanie zjeść wszystko, co tylko sprawiało, że nasze żołądki burczały z zadowolenia. Nawet mały kawałek jęczmiennego ciasta smakował nam tak, że nie pozazdrościlibyśmy jedzenia nawet królowi. Bez względu na to, jak bardzo byłem głodny, zawsze uważałem, żeby skończyć jeść przed innymi. W ten sposób oni mogli zjeść nieco więcej.

Po długim marszu zbliżyliśmy się do północnego brzegu rzeki Imjin. Nagle poczułem, że musimy koniecznie jak najszybciej przekroczyć tę rzekę i że nie mamy nawet minuty do stracenia. Miałem wyraźne przeczucie, że aby pozostać przy życiu, musimy pokonać tę przeszkodę. Bezlitośnie poganiałem Won Pil Kima. Był młody i potrafił zasnąć nawet podczas marszu, ale dalej go popędzałem i ciągnąłem rower. Tej nocy pokonaliśmy 32 kilometry i dotarliśmy nad brzeg rzeki Imjin. Na szczęście była pokryta grubą warstwą lodu. Przeszliśmy przez rzekę wraz z grupą uchodźców. Za nami ciągnęło się jeszcze bardzo wielu uciekinierów.

Jednak kiedy tylko przeszliśmy przez rzekę, wojska ONZ zamknęły przejście i zatrzymały ludzi za nami, którzy też chcieli tamtędy iść. Gdybyśmy dotarli nad rzekę nawet o parę minut później, nie moglibyśmy już jej przekroczyć.

Kiedy byliśmy już po drugiej stronie, Won Pil Kim obejrzał się za siebie na drogę, którą szliśmy i spytał: „Skąd wiedziałeś, że zamkną przejście przez rzekę?”

„Jakoś tak... po prostu wiedziałem” — odparłem. — „Takie rzeczy często się zdarzają temu, kto podąża ścieżką Niebios. Bywa, że ludzie nie wiedzą, że ocalenie jest tuż za następną przeszkodą. Nie mieliśmy ani chwili do stracenia, więc gdyby trzeba było, złapałbym cię za kark i przeciągnął na drugą stronę”.

Won Pil Kim wyglądał na bardzo przejętego moimi słowami, ale ja czułem ból w sercu. Kiedy doszliśmy do punktu, w którym 38. równoleżnik dzieli półwysep na połowy, postawiłem jedną nogę w Korei Południowej a drugą w Północnej i zacząłem się modlić.

„Dzisiaj musimy iść na południe, ale wkrótce wrócę na Północ. Zgromadzę siły wolnego świata, żeby wyzwolić Koreę Północną i połączyć Północ z Południem”.

Tak modliłem się cały czas, idąc wraz z grupą uchodźców.